OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 25 PAŹDZIERNIK 1936 NR 11–12 ROK IV

WANDA ACHREMOWICZOWA

POD WŁADZĄ BIESÓW

Jesteśmy niewątpliwie (wszyscy to czują) w przededniu decydującej walki pomiędzy dwiema potęgami ideowemi, któreby można ostrożnie nazwać idealizmem i materjalizmem. Nie przesądzając wyniku tej walki dziś można twierdzić, że nie będzie w niej miejsca na neutralność. Ci, co się zawahają, będą w straszliwy sposób zmieceni z oblicza ziemi.

Jasnem jest chyba dla wszystkich, że siłą atakującą jest materjalizm. Obrońcy idealizmu winni więc nieustannie czuwać. Czujność ta w ostatnich czasach została nareszcie rozbudzona, czy jednak w dostatecznej mierze.

Skłonni jesteśmy do powierzchownego, jednostronnego ujmowania grożących nam niebezpieczeństw.

Dlatego tak nieraz trudno orjentować się w sensie bieżących wypadków a zwłaszcza przewidywać ich skutki.

Polityka istotnie staje się, wg. dowcipnego określenia prof. Zielińskiego, podobna do wróżbiarstwa.

Dążąc do uproszczenia, niemal schematyzacji zjawisk budujemy pomiędzy nimi sztuczne przegrody, nie chcąc widzieć wzajemnego przenikania się różnych na pozór procesów. Upatrujemy tylko jedno źródło szalejącego potoku, zapominając o tem, ile strumieni on pochłonął, nim przybrał tak groźną postać.

Błąd ten, zdaje mi się, powtarza się i w ocenie bolszewizmu, w którym jedni widzą jedynie dzieło anonimowego mocarstwa, rządzącego światem, inni oskarżają „Kapitał" Marxa. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że jest on też w znacznej mierze wytworem samej Rosji i to nietyle rewolucyjnej, czy anarchistycznej ale właśnie nacjonalistycznej.

Zwalczając bolszewizm, albo stosując wobec tej epidemji aseptykę, zapominamy o zbiorowiskach bakcylów, jakiemi są niektóre dzieła sztuki rosyjskiej, zwłaszcza literatury XIX w. Najzacieklejsi wrogowie komunizmu rosyjskiego wpadają niemal w ton uwielbienia, gdy mówią o Tołstoju, czy Dostojewskim, nie widząc, że z ich to dzieł sączy się jad, którym się trują bezwiednie. Nie propaguję oczywiście palenia tych dzieł, ani zamykania dla wyłącznego użytku sowietologów, należałoby jednak zdać sprawę z ich związku z tem, co się dzieje na Wschodzie.

„Duchowe zrusyfikowanie radykalizmu naszego w rozmaitych jego postaciach, oto trzeci, obok lenistwa myśli i fetyszyzmu dla frazesu, a bardzo poważny czynnik triumfów bolszewictwa w Polsce"[1]) pisze prof. Zdziechowski.

Sądzę, że należy sięgnąć jeszcze dalej. Stokroć szkodliwszy jest wpływ pośredni tych, co sami panicznie bojąc się rewolucji, przez swe defetystyczne ujmowanie życia przygotowywali jej krwawy pochód. Myślę tu przedewszystkiem o Dostojewskim, którego sława i wpływ nietylko jako pisarza, ale i jako ideologa są dziś znacznie silniejsze niż za jego życia, kiedy to wśród samego społeczeństwa rosyjskiego budził gwałtowny sprzeciw i oburzenie.

Przy czytaniu jego utworów uderzył mię z jednej strony tragiczny kontrast pomiędzy nadziejami tego rosyjskiego mesjanisty, a dzisiejszą rzeczywistością, z drugiej strony niewątpliwe pokrewieństwo psychiki i działań postaci Dostojewskiego oraz pewnych momentów w jego ideologji z psychiką bolszewicką. W „Dzienniku Autorskim" wypowiada Dostojewski taki sąd o Rosji i Europie:

„W Europie demokratyzm objawił się wszędzie tylko na nizinach, tylko jeszcze walczy, a zwyciężone wyższe sfery odpierają atak. Nasze wyższe sfery nie były zwyciężone, one same z własnej woli stały się demokratyczne".

Wobec tego spodziewa się Dostojewski dla rosyjskiego ludu szczęśliwej przyszłości. Przyszłości, która wypłynie z takich wielkich zasad, jak „powszechne demokratyczne usposobienie i powszechna zgoda".

W wizji chorego bohatera *Zbrodni i Kary* Raskolnikowa ludzkość szaleje pod wpływem mikrobów, obdarzonych rozumem i wolą. Miota się, targana strasznym niepokojem, nie wiedząc o celu i sensie swego istnienia. Wszyscy mordują się wzajemnie. Zaraza szerzy się coraz dalej, „Ocaleć w całym świecie mogło tylko kilku ludzi — to byli czyści, wybrani, przeznaczeni do poczęcia nowego rodzaju ludzkiego na ziemi, nowego życia, przeznaczeni do oczyszczenia i odrodzenia Ziemi".

Kto są ci ludzie? Odpowiedź daje w *Biesach* Szatow:

„Bóg to syntetyczna osobowość całego narodu od początku jego aż do końca. Nie zdarzało się jeszcze, by wszystkie, albo bardzo liczne narody miały wspólnego boga, każdy miał swego własnego. Objawem zanikania narodowości jest wspólność bogów". Ponieważ zaś prawda jest jedna, więc tylko jeden naród może ją posiąść. „Jedyny naród „bogonośca" — to naród rosyjski". Jakże tragicznie brzmią te słowa wobec faktu, że naród „bogonośca" pierwszy oficjalnie Boga ze swego domu wypędził.

Dostojewski wierząc w misję swego narodu, czy przynajmniej pragnąc wierzyć, znał jego grzechy i przedstawiał je z przerażającą dokładnością.

Jak Krasiński w Nieboskiej niejasne zapowiedzi walki społecznej, której był świadkiem, w gigantycznej hiperboli poetyckiej zamienił na wizję przyszłości, tak Dostojewski w *Biesach* opierając się na procesie Nieczajewa dał potworną karykaturę działalności rewolucyjnej, jako memento dla swego społeczeństwa.

Rewolucjoniści, wśród których są ludzie dobrzy i szlachetni, opętani jakimś szałem niemal, mordują zupełnie niepotrzebnie człowieka o wysokiej wartości moralnej, właściwie nieszkodliwego dla nich zupełnie. Ten mord bestjalski i bezsensowny wstrząsa jednak nietyle, co ideologja faktycznego ich przywódcy Wierchowienskiego.

Organizuje on swoich stronników w piątki i mając zaledwie garstkę otumanionych, zalęknionych służalców, pragnie opanować Rosję. Wie jednak, że sam jest jednostką, pozbawioną kwalifikacyj do rządzenia tłumem. Nie ma w sobie nic z czaru władzy. Wybiera więc na przywódcę tajemniczego a właściwie zdegenerowanego choć w gruncie rzeczy rozumnego a nawet szlachetnego arystokratę Stawrogina i taki przed nim roztacza program:

„...Góry zrównać. Nie potrzeba wykształcenia, dość nauki. ...Na świecie jednego tylko brak — posłuszeństwa. Żądza wykształcenia — to żądza arystokratyczna. Zaledwie rodzina, miłość a już i pragnienie własności. My zniweczymy pragnienie: rozpowszechnimy pijaństwo, obmowy, oszustwa, rozszerzymy niebywałą rozpustę, każdą iskrę genjuszu zagasimy w niemowlęctwie. Wszystko sprowadzić do jednego mianownika, całkowita równość".

Kiedy zaś Stawrogin patrzy na niego jak na szaleńca, Wierchowienski tak go o swej potędze przekonywa:

„...My już jesteśmy strasznie silni... ja ich wszystkich porachowałem: nauczyciel, który wraz z dziećmi drwi z ich Boga i ośmiesza ich kolebkę, — już nasz. Adwokat, usprawiedliwiający wykształconego zabójcę tem, że ma większe potrzeby intelektualne niż jego ofiary i dlatego musiał zabić, aby zdobyć pieniądze — już nasz, uczniowie, mordujący chłopa, żeby doznać dreszczu — nasi. Sędziowie przysięgli, uniewinniający wszystkich zbrodniarzy — nasi. Prokurator, który drży na sądzie, że nie jest dość liberalny — nasz, nasz. ...O... naszych jest wiele, bardzo wiele i sami o tem nie wiedzą".

„Jedno albo dwa pokolenia pogrążyć w rozpuście — to teraz konieczne, rozpuście niesłychanej, nędznej, kiedy człowieka zamienia się w ohydny, tchórzliwy, okrutny i samolubny stwór, oto czego trzeba. A jeszcze trzeba świeżutkiej krwi, żeby się przyzwyczajał".

Kiedy wreszcie nastanie zamęt i „pląsawica jakiej świat nie widział" — wtedy ogłupiałym ludziom podsunie się Iwana Carewicza.

„Świat musi być rządzony despotycznie".

Wierchowienski niezadowolony z niezręcznego wykonania poleconej przez niego zbrodni (zamordowanie kalekiej

ANTONI GOŁUBIEW

KORONA WOLNOŚCI

Na Wschodzie i Zachodzie powstają dwa nowoczesne państwa. Wielu ludzi żachnie się na to określenie: nowoczesne. Żachną się ci wszyscy, którym nie odpowiada stalinizm czy hitleryzm. Z pojęciem bowiem nowoczesności łączy się w umyśle pojęcie kroku naprzód, większej doskonałości, przecie mówimy „nowoczesne", chcąc powiedzieć „postępowe", nowoczesność przeciwstawiamy zatęchłości i konserwatyzmowi. Tem nie mniej są to państwa nowoczesne, gdyż stworzyły takie formy, jakich historja dotychczas nie znała.

Ale ci nawet, co się od tych form odżegnują, są pod ich głębokim urokiem. Nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak głębokie brózdy żłobią w naszem myśleniu prądy z za granicy wschodniej czy zachodniej. Niestety ujmuje się je najbardziej zewnętrznie. Niestety — mimo powodzi artykułów — znamy oba te systemy bardzo niedokładnie. Znamy je od strony zewnętrznej, od strony defilad, sztandarów, propagandy, bezwzględności w środkach, w najlepszym razie Dnieprostrojów czy autostrad niemieckich. Zupełnie natomiast nie znamy tych głębszych, bardziej istotnych cech, tego co dzisiejsza nauka lubi nazywać „duchem", „istotą", „sensem" danego ustroju i danej formy społecznej.

W tym „duchu" państw nowoczesnych leży przyczyna ich zgodności z psychologją narodów, których formą istnienia są te państwa. Jest coś w autokratyzmie sowieckim, czy hitlerowskim, co sprzyja, że psychologja rosyjska, mongolska czy niemiecka do ustrojów tych umie się przystosować; że w młodem, wychowywanem przez nie pokoleniu wywołuje entuzjazm.

Wiele obozów politycznych w Polsce przejmuje się formami z Zachodu i Wschodu. Nie jesteśmy liberałami starej daty, wołamy o nowoczesną przebudowę państwa polskiego. Ale właśnie dlatego musimy wyraźnie powiedzieć, musimy krzyczeć, że samo tylko nałożenie na naród Polski form wziętych żywcem z Zachodu czy Wschodu nic Polsce nie da. Bo właśnie najistotniejszą rzeczą jest umieć związać formy ustrojowe z psychologją narodu. Entuzjazmu w nikim nie da się wybić pięścią — to darmo. Entuzjazm można tylko wywołać wtedy, gdy sięgnie się do tęsknot drzemiących w duszach ludzkich i tęsknoty te zacznie się realizować. Hitler czy Mussolini sięgnęli do tęsknoty panowania, do ambicyj imperjalistycznych i tem wzięli naród. Sowiety oparły się na bierności rosyjskiej czy mongolskiej, ale uderzyły w ton społeczny i dopóki ton ten w nich panował, mieli masy; dziś to się załamuje. W psychice polskiej panują inne elementy, tego nas uczy historja. Nasz imperjalizm i nasze poczucie społeczne mają inne oblicze, niż w narodzie rosyjskim czy niemieckim. Nowoczesne państwo polskie musi mieć inne oblicze, niż nowoczesna Rosja czy Niemcy.

Znane to twierdzenie, że jedną z najbardziej podstawowych cech naszego charakteru narodowego jest umiłowanie wolności. Wolności państwowej, narodowej, osobistej. Cecha ta nieraz prowadziła nas na manowce, spaczona — przekształciła się w w. XVII i XVIII w anarchję i zgubiła Polskę. Ale to, że bywała wypaczana, nie znaczy, że się z nią można nie liczyć. Zwłaszcza, że wolność nie stoi w żadnej sprzeczności ani z silną władzą, ani z potężnem państwem, ani z karnością. Odwrotnie, dopiero przy spełnieniu tych warunków może się w pełni rozwijać.

Co jest bowiem koroną wolności? Koroną wolności jest twórczość. Twórczość jednostki planowo zespolona i zharmonizowana z twórczością państwa. Tego się nie da osiągnąć w państwie zbiurokratyzowanem, gdzie panuje papierek i frazes. Tego się nie da osiągnąć w klasycznym ustroju kapitalistycznym, gdzie twórcza jest tylko szczupła garstka kierownicza. Tego się nie da osiągnąć w komunizmie, gdzie człowiek jest tylko śrubką w martwym mechanizmie państwa. Ale też i się tego osiągnąć w państwie zanarchizowanem (dlatego właśnie okres naszej historji, który można nazwać „okresem złotej wolności" był typowo nietwórczy).

Szukanie nowych form ustrojowych w Polsce musi iść po linji budzenie zorganizowanej twórczości narodu, pociągnięcia do niej narodu, bez martwej maszyny biurokratycznej, bez frazesu i gadania. Musi iść po linji dostarczenia każdemu maksimum możliwości twórczych. Tylko idąc po tej linji będziemy kładli trwałe podwaliny pod silną nowoczesną Polskę. Tylko wtedy powstanie w narodzie prawdziwy entuzjazm.

żony Stawrogina i jej brata i podpalenie domu, w którym mieszkali) wybucha oburzeniem:

„Ta demokratyczna szuja ze swemi konspiracyjnemi piątkami — to słabe oparcie; tu potrzebna jest jedna wspaniała, posągowa, despotyczna wola, oparta o coś, co nie jest przypadkowe, co się znajduje poza nami. Wtedy i piątki podwiną ogony posłuszeństwa i uniżoność ich przyda się od biedy“.

Czyż nie jest to skrót dziejowy komunizmu? Droga od chaosu rzekomej równości, po przez elitę partyjną do „samodzierżawija“, a jednocześnie świetna charakterystyka metod propagandowych — „naszych jest wiele, bardzo wiele i sami nie wiedzą o tem“.

Czy wobec takiego jasnowidztwa można na Dostojewskiemu robić zarzut, że jest roznosicielem bolszewickich mikrobów, skoro już w samym tytule powieści osądził rewolucyjną działalność, skoro zarówno w sytuacjach jak kreśleniu charakterów napiętnował konspiratorów anarchistów, robiąc z ich akcji makabryczną groteskę?

A jednak są w Dostojewskim pierwiastki trujące, które go spokrewniają z jego bohaterami, choćby najostrzej osądzonymi przez twórcę.

Mimo szczytnego idealizmu, uosobionego w szeregu pięknych postaci męskich i kobiecych: księżę Myszkin z „Idioty“, starzec Zosima i Aleksiej Karamazow z „Braci Karamazowych“, Sonia ze „Zbrodni i Kary“ i in., mimo wielkiej siły oburzenia wobec niesprawiedliwości a zwłaszcza wobec krzywdy maluczkich, w dziełach Dostojewskiego zaciera się granica pomiędzy złem a dobrem, pomiędzy poświęceniem a histerją, pomiędzy inteligencją a obłędem, pomiędzy pokorą a poniżeniem godności ludzkiej.

Ludzie Dostojewskiego są w stosunkach wzajemnych skorzy do uwielbienia i jednocześnie do plucia w twarz. Gesty pokory są tak częste, że aż stają się nużące i tak mało zrozumiałe jak klęknięcie starca Zosimy przed Dymitrem Karamazowym. Patologiczne przerzucanie się od miłości do nienawiści, od czci do pogardy występuje w każdej niemal powieści. Możnaby to traktować jako pewne upodobanie do psychologicznych zawiłości, gdyby ten sam objaw nie występował i wtedy, gdy chodzi o ideję, o posta[illegible]

Nic dziwnego, że Wierchowienski, w gruncie rzeczy nędzna kreatura, poniża się do błagania przed Stawroginem, który go przed kilku minutami chwycił za włosy i cisnął na ziemię.

Charakterystyczne jest to, że Wierchowienski za chwilę łży swego wybrańca słowami: „paskudny, kłamliwy, pokrzywiony paniczyk“.

Co ciekawsze — mistrzem duchowym szlachetnego nacjonalisty Szatowa jest tenże Stawrogin. Szatow mimo to publicznie go policzkuje, a następnie w gorącze dnie i noce oczekuje jego przybycia.

Gdy Stawrogin istotnie do niego przychodzi, Szatow zazwyczaj milczący i skryty wybucha spowiedzią, odsłaniającą wielką rolę Stawrogina w jego życiu duchowem. Niebawem zaś obrzuci go obelżywemi pytaniami:

— Czy to prawda, że Markiz de Sade mógłby się u Pana uczyć?

— Czy to prawda, że Pan uwodziłeś i gorszyłeś dzieci?

— Nie waż się łgać.

— Czy to prawda, że Pan mówiłeś, że właściwie niema różnicy pomiędzy pięknem lubieżnego zwierzęcego czynu, a jakimkolwiek bohaterstwem, choćby ofiarą życia dla ludzkości“.

Po tych obelgach Szatow znowu wpada w ton skruchy i uwielbienia o mistycznem zabarwieniu.

„O, Stawrogin, czemu jestem skazany na to, żeby w ciebie wierzyć? Przecież ja będę całować ślady stóp Twoich, gdy odejdziesz“.

Czyż w świetle tych rozmów nie staje się zrozumialsze zachowanie się oskarżonych w procesie moskiewskim? Zdolność do „kajania się“ jest cnotą, głoszoną w Rosji już przez Dostojewskiego. Gdzież jest źródło tej dziwnej skłonności do poniżenia się przed ludźmi u tego indywidualisty? Wydaje mi się, że należy jej szukać w strasznym lęku przed ciężarem odpowiedzialności za własne czyny i własne życie. Idea, w którą ludzie Dostojewskiego wierzą albo do wiary w którą dążą [2], nie daje im oparcia, przeciwnie przygniata ich swą wielkością. Szatowa Dostojewski tak charakteryzuje: „Była to jedna z rosyjskich idealnych jednostek, którą olśni znienacka jakaś wielka idea i natychmiast przygniecie, czasami na zawsze... Całe życie ich mija jakby w śmiertelnych drgawkach pod ciężarem głazu, który na nich runął i nawpół rozcisnął“.

Ten ukryty w głębi lęk przed odpowiedzialnością jednostkową wpłynął prawdopodobnie na pełen nienawiści stosunek Dostojewskiego do katolicyzmu. Jednostka, stojąca na czele kościoła, dźwigająca jakby odpowiedzialność za wszystkich ludzi, budzi w nim tajony podziw a zarazem wstręt. Wszakże Wierchowienski miał myśl oddania świata papieżowi. Rzym, zdaniem Dostojewskiego, wyznaje wiarę Chrystusową, który uległ trzeciemu kuszeniu djabła, pokusie władzy nad światem — a przez to właściwie uznał antychrysta i zgubił cały świat Zachodni. „Ateizm jest zdrowszy od katolicyzmu!“ woła Dostojewski ustami Szatowa.

Bunt przeciw katolicyzmowi zrodził w umyśle pisarza potężną postać Wielkiego Inkwizytora, który chce skazać Chrystusa zjawionego ponownie na ziemi na stos, by nie przeszkadzał mu w poprawianiu dzieła Chrystusowego.

Chrystus bowiem odrzucił nierozważnie trzy pokusy szatana na pustyni, pragnąc, by miłość ludzi była wolna, nie zaś wymuszona przez zaspokojony głód (pierwsze kuszenie), zadowoloną żądzę niezwykłości (drugie kuszenie) i potęgę panowania nad światem (trzecie kuszenie).

Ciężaru tej swobody, ofiarowanej przez Chrystusa, słabi ludzie znieść nie mogą.

„Niema większej męki ludzkiej — mówi Inkwizytor — nad tę troskę, by stawszy się wolnymi, znaleźć jak najprędzej kogoś, przed kim się padnie na twarz. ... Troska tych mizernych istot nietylko polega na tem, by komuś się pokłonić, ale znaleźć to, czemu się kłaniać będą wszyscy razem“.

„Tyś zapragnął swobodnej miłości człowieka, żeby on sam poszedł za Tobą, zachwycony, oczarowany tylko Tobą. Zamiast surowego starego Zakonu — człowiek wolnem sercem miał teraz sam postanowić, co jest dobre a co złe, mając jedynie jako wzór Twój obraz. Czyś nie przewidział, że on odrzuci w końcu i zakwestjonuje Twój obraz i Twoją prawdę, jeżeli go obciążysz takiem strasznem brzemieniem jak wolność wyboru.“

Wielki Inkwizytor na czele tajemniczej armji — duchowieństwa, postanowił ludzkość od tego ciężaru uwolnić. Wziął na siebie odpowiedzialność za grzechy słabych ludzi. Rzym — zaczął rządzić ludzkością za pomocą trzech sił, odrzuconych przez Chrystusa — cud, tajemnica, autorytet. Zrobił to jednak kosztem zdrady Chrystusa i połączenia się z Szatanem.

W tym uroczystym akcie oskarżenia brzmi ton mimowolnego szacunku dla Kościoła, a jednocześnie widoczna jest całkowita niemożność zrozumienia tej wielkiej antynomji, jaką jest w Kościele zespolenie wolności i autorytetu.

Głoszone przez Kościół prawa są niezmienne, a jednocześnie nie krępują wcale wolności wyboru. Poddanie się Najwyższemu Prawu, objawionemu przez człowieka, nie jest poddaniem się autorytetowi głosiciela dla niego samego.

Dostojewski tej różnicy nie pojmuje i dlatego sądzi, że prawosławie oparte o zasadę społeczną — „sobornoje naczało“ jest wyrazicielem prawdziwego ducha miłości i wyrozumiałości — ducha Chrystusowego.

Wyrozumiałość i współczucie dla ludzkiej nędzy przekształca się nieraz w afirmację wszystkiego, co się dzieje — jako dobre, jak to głosi manjak samobójca Kiryłow, albo w całkowitą rozpacz o zbawieniu jak u Iwana Karamazowa, który jednocześnie w życiu kieruje się zasadą „wszystko jest dozwolone“. W ludziach nienormalnych, okaleczałych etycznie albo upośledzonych umysłowo Dostojewski szuka zarodzi wielkości i świętości tak gorliwie, że powoli kryterjum oceny się przesuwa. Warunkiem wysokiej wartości duchowej staje się nietylko cierpienie (to byłoby w pewnym sensie słuszne) ale i ułomność moralna. Wszakże Iwan Karamazow jest głębszy duchowo od swego brata niewinnego Aloszi. Ten kandydat na świętego musi jeszcze przeżyć całe piekło pokus i upadków jak to było z jego mistrzem Zosimą.

Nieznacznie zaczyna nad umysłem czytelnika górować myśl o nierozerwalnem zespoleniu iskry Bożej ze stanem upadku i grzechu, a wreszcie myśl, że właściwem środowiskiem, w którem ta iskra może się rozpalić, jest właśnie zło i nędza moralna. Maritain poruszając sprawę stosunku André Gide'a do Dostojewskiego bardzo głęboko ujął przyczynę tego pomieszania pojęć.

„Pewnego dnia otworzyły się Dostojewskiemu oczy na świat ducha przez dotknięcie Ewangelji i został tem na zawsze wewnętrznie zamącony, ponieważ intencje jego serca nie znalazły ze strony inteligencji czystych pewników, które powinny były je zrównoważyć. Zatruty przez swój wiek (i przez Jean Jacquesa) nigdy nie wierzył, iż rozum mógł zbudować to rozróżnienie dobra i zła, któremu on poddawał swoją myśl. Nie wydaje się także, aby wyraźnie uświadomił sobie pewność zasadniczo nadprzyrodzoną wiary w Odkupiciela, przy której zawisła jego dusza. Jego nieszczęściem było, iż wstawił pewnego rodzaju odszczepienie między miłość i mądrość, iż nie zrozumiał, że z mądrości pochodzi miłość. Był on pierwszą ofiarą własnej nieznajomości katolicyzmu“ [3]).

Nawiązuję do powiedzianego na wstępie. Walcząc namiętnie z anarchją, Dostojewski nie znalazł oparcia dla swego własnego ładu wewnętrznego i dlatego stał się mimowolnym anarchji i ateizmu apostołem.

Rosja nie poszła drogą programu, kreślonego w mowie o Puszkinie, drogą miłosnego ogarnięcia całej ludzkości, ale drogą nieszczęśnika Kiryłowa, który za atrybut boskości w sobie uznał własną niezależność. „Jest to wszystko, przez co mogę wykazać w najwyższym stopniu swoje nieposłuszeństwo, swoją nową i straszną wolność. Zabiję się, aby stwierdzić swe nieposłuszeństwo, swoją nową i straszną wolność“.

[1]) Marjan Zdziechowski. Zwiastuny satanizmu w Polsce. Pax, 1935, Nr. 12. [2]) Stawrogin wpoił w Szatowa przekonanie, że poczucie narodowe jest nierozerwalnie związane z wiarą w Boga, ale ani sam nie wierzył ani Szatowa tą wiarą nie natchnął. „Żeby zrobić sos z zająca — wyraża się trywjalnie — trzeba zająca“. [3]) Jacque Maritain: Sztuka i mądrość, str. 114—115.

STANISŁAW STOMMA

NA GRUZACH PACYFIZMU

Wódz młodych nacjonalistów belgijskich Leon Degrelle udzielił niedawno wywiadu współpracownikowi „Prosto z Mostu“. Jest to bardzo ciekawy wywiad. Mówiąc o polityce zagranicznej, wódz „Rexa“ oświadczył: „...walczyć będziemy przedewszystkiem z komunizmem. Cały mój program polityki zagranicznej jest w tem zawarty. Zawsze będziemy się łączyć przeciwko Moskwie, a więc **raczej z Niemcami niż z Francją** (podkreślenie nasze).

Wiemy, kto jest Leon Degrelle — To nie jakiś młodociany działacz akademicki, którego wypowiedzi traktować można jako nieodpowiedzialne słowosiewstwo. „Rex“ jest wielkim ruchem politycznym, posiadającym w parlamencie belgijskim wcale liczną reprezentację. W czasie ostatnich wyborów na „Rexa“ głosowało 20% wyborców belgijskich. Słowa, które wypowiada wódz takiego ruchu, mają wielki walor polityczny. I człowiek ten powiada „raczej z Niemcami niż z Francją“.

Wypowiedź ta skłoniła przedstawiciela „Prosto z Mostu“ do refleksji na temat niedawnej przeszłości. Oto cała Belgja usiana jest grobami poległych żołnierzy. To groby żołnierzy francuskich i belgijskich, żołnierzy, co padli w wojnie z Niemcami, w wojnie o wolność Belgji. — Tymczasem dziś wódz młodych nacjonalistów belgijskich powiada „raczej z Niemcami niż z Francją“.

Znaczy to, że w Europie coś się zmienia. Pojawiają się jakieś nowe trudno zrozumiałe — elementy polityczne. Młodzi zaczynają myśleć innemi kategorjami. Bo czyż nie jest zdumiewające, że młodym Belgom bliższe są hitlerowskie Niemcy niż „demokratyczna“ Francja! A jednak procesy podobne widzimy wszędzie.

Na ostatnim hitlerowskim „Parteitagu“ w Norymberdze, obok negatywnych haseł antykomunistycznych, wysunięto też hasła pozytywne; zaakcentowano międzynarodową solidarność ruchów nacjonalistycznych. Można powiedzieć, rzucono hasło: „nacjonaliści wszystkich krajów łączcie się“. Brzmi to nieprawdopodobnie. A jednak nie jest to niedorzeczność, lecz paradoks. Inna rzecz, że Niemcy usiłują to dyskontować dla celów własnej polityki państwowej, starają się niem szermować, jak Moskwa szermuje hasłami komunistycznemi.

Bohaterska obrona Alkazaru wywołała entuzjazm nacjonalistów całego świata. Podziw dla poświęcenia i bohaterstwa jest zrozumiały. Ale w danym wypadku było coś więcej. Było przejęcie się, jakby chodziło o sprawę najbliższą, o sprawę własną. W tem jest właśnie owe charakterystyczne nowum, że sprawę Alkazaru uznali nacjonaliści całego świata za sprawę **własną**. Oto młody polski poeta nacjonalistyczny, pochodzący z proletarjatu łódzkiego w takich słowach opiewa Alkazar:

„Kto z wściekłością o skały pieniąc się łbem tłucze?
Kto wypisał na niebie krwią dziesięć przykazań?
Jakich użyć wyrazów najbardziej szalonych?
Jeszcze jednym ostatnim bastjonem
[illegible]
Alkazar,
Europo grzebiąca we własnych jelitach!
Europo stoczona wrzodami i smrodem!
Europo!
To świta!
To jest słońce jarzące u wschodu!
To się nowa historja w młodzieńczej krwi płucze.
Nierządnico! Wlokąca swe cielsko na bazar, —
to są twarde na gardle twem stopy!
Europo!
to
huczy
A l k a z a r!

„To świta“... „To się nowa historja w młodzieńczej krwi płucze“. Możnaby pomyśleć, że temi słowy witają komuniści — międzynarodowy wybuch rewolucji w innym kraju. Tymczasem to pozdrowienie nacjonalistów dla nacjonalistów. Zdumiewający paradoks! Akcenty solidarności międzynarodowej są tu jakże wyraźne. Odrodzeńcze ruchy faszystowskie wszystkich krajów poczuwają się do wzajemnej solidarności. — To właśnie jest nowy element polityczny.

Występował on wyraźnie w czasie wojny włosko-abisyńskiej. Gdy chodzi o Alkazar, możnaby tłumaczyć, że jest to hołd dla ofiarności i bohaterstwa chłopców broniących się w gruzach wysadzonego zamczyska. Ale w czasie wojny włosko-abisyńskiej momentów tych nie było. Nastrojowe sympatje całego społeczeństwa były raczej po stronie Abisynji. Włosi byli stroną silniejszą i stroną agresywną, napastującą prawie bezbronnych Abisyńczyków, broniących wolności swojej ojczyzny. Tymczasem młodzi nacjonaliści wszystkich krajów demonstrowali po stronie Italji. — I co jest znamienne, manifestacje te nie były sztucznie robione. Były to manifestacje spontaniczne, pełne szczerego entuzjazmu. Na dowód apostrofa, którą inny literat młodego nacjonalizmu polskiego pozdrawiał faszystów idących na podbój Abisynji.

Wiedzcie!

Z wami jesteśmy — wiedzcie! ludzi milczących z dalekiej strony miljony! My także mamy wojnę i także głodem nas morzą — i także naszą prawdę zatopić chcą w grzechocie kłamstw i fałszu i w dymach obłudy! Zaprawdę, nie jesteście sami — my z wami!

Chocieśmy inni wy inni, — choćby nas więcej jeszcze ziem i więcej dzieliło myśli i więcej jeszcze różnej doli — przez siedem gór i rzek, przez wasze lato a nasz śnieg, przez cokolwiekby między nami było — w tej waszej ciężkiej godzinie, myśl nasza ku wam płynie!

Czekamy z zapartym tchem u południowe bramy... Czekamy poprzez zgiełk, w oparach czczego dymu wieści z Rzymu! — Za was, także poszli w pierwszym szeregu, modli się nasza matka niejedna jak za własnego syna... Nie ustawajcie w biegu! Nie upadajcie w locie! — Jutro i my pójdziemy... a są nas krocie... i krocie... Nie mówcie nic... My wiemy!

Wiedzcie! Jesteśmy z wami i już nas nic nie wstrzyma, Wzbieramy jak Pad na wiosnę, rośniemy jak lawina, co las przed sobą ścina! I naszem będzie zwycięstwo — naszem jest jutro świata, gdy się dopełni godzina!

Do góry, do góry czoła! Nic nas już z drogi nie odwoła! Dosyć już mamy fałszu i dosyć mamy obłudy i dosyć łez krokodylich, dosyć tego wszystkiego rabunku miłościwego! Już nas nic nie umyli!

My wiemy, że od braci miłość się ludzi zaczyna, że nią się bogaci ziemia, i ona, i ona jedna dusze pobudzi! — Nie mówcie nic... My wiemy! Nas dym nie zaćmi. Wszystkie wielkie narody są wielkich narodów braćmi!

Wiedzcie! to nie nasz głos do licha, te wszystkie trąby Jerycha! Wiedzcie, tak jak my wiemy!

Do góry, do góry czoła! Godzina jutrzni dojrzewa, sieć mroku się rozplata, mgła się nocy rozwiewa... Idziemy! Idziemy z wojną o prawdę, idziemy z wojną o zdrowie! — Już poszli chorążowie nowego porządku świata!

Michał Pawlikowski

Tak się nie pisze z obowiązku. Jest w tych słowach szczery poryw. A słowa

jakże znamienne — „Wszystkie wielkie narody są wielkich narodów braćmi".

Europa jest dziś w sytuacji wielce tragicznej. Wyścig zbrojeń, jakiego świat nie widział. Fiasko zupełne wszelkich prób układów rozbrojeniowych i paktów zbiorowego bezpieczeństwa. Narody stoją gotowe z bronią u nogi a materjału palnego jakże wiele. Wydaje się, że wojna jest nieunikniona, że idziemy z koniecznością do wojny. A przecież wiadomo, czem byłaby nowa wojna europejska. — Byłaby to ostateczna klęska. Bolszewizm i zagłada zupełna kultury starego kontynentu. Co jest najtragiczniejsze, że w sytuacji obecnej nie widać żadnego elementu pozytywnego, któryby mógł stanowić punkt oparcia dla budowy pokoju w Europie.

Otóż nasuwa się pytanie: czy międzynarodowa solidarność ruchów faszystowskich nie stanowi elementu, który mógłby być cementem dla budowy pokoju pomiędzy narodami Europy. — „Nas nie zaćmi. — Wszystkie wielkie narody są wielkich narodów braćmi". Więc może to braterstwo obudzonych i zorganizowanych narodów może stanowić punkt oparcia dla pokoju europejskiego.

Wyprowadzanie stąd jakichkolwiek wniosków optymistycznych byłoby naiwnością. Sympatje, jeśli się można tak wyrazić, — panfaszystowskie opierają się głównie na podłożu emocjonalnym. Pozatem gra rolę wspólna niechęć do komunizmu, który grozi zagładą wszystkim narodom. Natomiast czynniki współpracy pozytywnej jeszcze się nie zarysowały. A jednak...

Wojna współczesna nie będzie wojną dwóch armji, ale wojną całych narodów. Walczyć będą ze sobą całe narody. W tej walce najpierwszą rolę grać musi postawa ideowa szerokich mas. Aparat propagandowy będzie pełnił nie mniejszą rolę niż Sztab Generalny. Urobienie mas, wpojenie im przeświadczenia o słusznych celach wojny i wykształcenie postawy agresywnej to cel najpierwszy. Musi być obudzona w narodzie — możemy się tak wyrazić — l e g e n d a w o j n y. Wojna współczesna będzie musiała mieć swoją legendę dla mas.

W wypadku wojny narodu faszystowskiego z państwem komunistycznem legenda taka zrodzi się spontanicznie, będzie sama przez się zrozumiała. Ale wyobraźmy sobie konflikt dwóch narodów faszystowskich... W tym wypadku urobienie postawy bojowej napotykałoby na trudności. Jeśli się przez długie lata wychowuje w społeczeństwie sympatje dla ruchów narodowych innych państw, trudno potem jednego dnia pchnąć w kierunku sprzecznym. To jest moment pierwszy. Można wogóle wątpić, czy byłyby możliwe urobienie w narodzie faszystowskim postawy bojowej do wojny europejskiej z drugim narodem faszystowskim. W każdym razie zapory psychiczne w społeczeństwie byłyby olbrzymie. A nastroje opinji to czynnik niemałej wagi. Wiemy, że ciśnienie opinji zmusiło Jana Sobieskiego do wojny z Turcją zamiast przeciw Habsburgom.

P o w t ó r e. — Niewątpliwie współczesne ruchy faszystowskie pomimo barbarzyńskich nieraz metod są jednak twórczym renesansem kultury europejskiej, która pod wpływem prądów liberalnych i materjalistycznych uległa straszliwej dekadencji. To stwarza duchowe pokrewieństwo.

Zdajemy sobie sprawę, że to pokrewieństwo duchowe nie wyklucza wojen, tak jak w średniowieczu wspólna idea nie wykluczała wojen wewnętrzno-europejskich. Ale przynajmniej obecnie, dopóki niebezpieczeństwo bolszewizmu jest duże, to pokrewieństwo stanowi element poważnie utrudniający wybuch. Dlatego jest to element pozytywny.

Dalszych wniosków snuć nie będziemy. Oznaczałoby to bawienie się w znachorstwa polityczne. Pragniemy tylko wskazać, że ruchy faszystowskie wnoszą w życie międzynarodowe nowy element, który dla pokoju ma znaczenie dodatnie.

Termin — pacyfizm — używany bywa w różnem znaczeniu. W czasach po wielkiej wojnie wyraz ten nabrał szczególnego zabarwienia. W tym sensie pacyfizm jest płodem materjalizmu i liberalizmu. Oznacza on wprost materjalistyczny egoizm jednostki, niechęć do ofiary z życia na rzecz zbiorowości (pacyfizm w stylu Remarque — Cadenhowe Callergi i t. p.).

Dziś jest to karta odwrócona. Współczesne ruchy nacjonalistyczne odrzucają i potępiają taki tchórzowski i egoistyczny pacyfizm.

Na to miejsce, jak widzieliśmy, wnoszą młode ruchy narodowe inny czynnik dodatni dla pokoju. Narazie wszakże stanowi on jeszcze wielki znak zapytania.

OD REDAKCJI

Pismo nasze wychodzi ze znacznem opóźnieniem. Walczymy z trudnościami finansowemi, a jednak nie rezygnujemy z dalszej pracy. Wierzymy bowiem, że w „dniu ognia", jakiem są czasy obecne, wykuwanie młodej myśli katolickiej jest potrzebą chwili, jest pozytywnym elementem w tworzeniu ideologji całego narodu polskiego. W dziedzinie myśli dotyczącej zagadnień państwowych widać dziś twórcze ożywienie. Chcemy tym prądom iść na spotkanie. Chcemy być elementem spajającym ogniwa przyszłego programu młodego pokolenia, którego szkieletem musi być Polska, oparta o fundamenty doktryny chrześcijańskiej. Do przyjaciół naszego pisma zwracamy się z prośbą o pomoc, o jednanie prenumeratorów, gdyż tylko podstawy finansowe pozwolą nam skutecznie rozwinąć szerszą działalność.

HALINA WĘŻYK-WIDAWSKA

PRZEZ TO, CO NIEPRZYJEMNE

Niema takich, którzyby się nie zadumali nad tem, co się dzieje od kilku lat w Hiszpanji. Z jednej strony kraj rdzennie katolicki, zapostołowany niemal w pierwszych dniach chrześcijaństwa, ludność cała przypisana do ksiąg metrycznych Kościoła — z drugiej strony zbeszczeszczone świątynie, triumf diabelskiego niemal ateizmu i masakry straszliwe, przerastające chyba to, co się dzieje w Sowietach. Tak jest dziś. A na dalszym planie wyjaśniające wczoraj: — straszliwa nędza, poniżenie, ciemnota, niemal niewolniczy stan mas i olbrzymie latyfundja dostojników Kościoła. Tyle, żeby już nie mówić o „tem więcej", co charakteryzuje życie posiadających, a więc... używających.

Niema takich, którzyby się nad tem nie zadumali i trzeba ż e b y ś m y o tem m y ś l e l i jak najwięcej, myśleli i o t w a r c i e p a t r z y l i p r a w d z i e w o c z y. Prawdzie, której nie zmieni nawet zwycięstwo powstańców, bo stały się rzeczy, których odwołać nie można, których nie da się wytłumaczyć jedynie działalnością agentów Moskwy.

Jakiś cień padł na nasze życie. Kraj rdzennie katolicki i potworność ostatnich dni, miesięcy, lat... i potworności całych stuleci. Przecież ten kraj, po którym stąpały stopy Apostoła Narodów — n i e b y ł chyba n i g d y c h r z e ś c i j a ń s k i i nie była chrześcijańską nigdy dusza tego ludu, i nie była nigdy chrześcijańską ta krew, która potrafiła tak potwornie zakipieć. Z tego, co się dzieje w Hiszpanji można wyciągnąć różne wnioski i różne światło rzucić na historję lat ostatnich. I nie można się dziwić, że fakty z naszego życia, a jeszcze gorzej nasza bezmyślna postawa w stosunku do nich wkłada argument w ręce komunistów.

Faktów, które się stały, nie wolno tuszować w imię niedaleko widzianego interesu Kościoła. Kościół jest święty i tem świętszy wydaje się każdemu historykowi jego dziejów, kiedy ten widzi jego niewzruszoność i nieomylność, mimo lichoty niektórych papieży, kleru, pogaństwa wiernych. Kościół jest święty mimo tego, co się dzieje w Hiszpanji. Ale Hiszpanja nigdy nie była chrześcijańską do głębi. Jak p r o b l e m a t y c z n i e c h r z e ś c i j a ń s k ą jest cała n a s z a k u l t u r a, mimo świętości ludzi, nawet epok całych, mimo całego dorobku chrześcijaństwa, warunkującego jej istnienie.

To, co się dzieje w Hiszpanji wygląda jak g r o ź n e m e m e n t o dla Kościoła w Polsce. Dużoby się znalazło analogji między tem, co jest u nas, a tem, co się działo za Pirenejami. Tak samo, jak tam, mamy nieuświadomione religijnie pogańskie masy zarówno ciemnego plebsu jak równie nieuświadomionej inteligencji i tak jak tam, brak nam elity: — inteligencja świecka jest obojętna na sprawy kultury duchowej, bierna wobec przewrotów społecznych, któreby się domagały z jej strony postawy czynnej i nie mniej nieprzygotowany do trudnej chwili obecnej jest nasz kler.

Są to rzeczy, które wołają larum i nie czas na politykę strusią. Trzeba z ł o nazwać po imieniu i w sobie przedewszystkiem wyszukać jego korzenie, aby wypowiedzieć mu walkę. Oczywiście nie może wystarczyć krytyka i burzenie tego, co złe w życiu społecznem. Cała straszliwość wszystkich rewolucyj świata właśnie na tem polega, że nie umiały zapanować nad negacją i złu z którem słusznie brały się za bary, nie umiały przeciwstawić pozytywnego programu. Krytyka i rachunek sumienia nie może wystarczyć. W podstawie naszego stosunku do tego, co musi zczeznąć, musi być pozytywny program. Dla nas chrześcijan musi on wyrastać z Prawdy i Miłości. P r a w d a i M i ł o ś ć musi być atmosferą wszystkich naszych poczynań i miąższem całego, z pełną świadomością wszechstronnie rozbudowanego programu. Miłość winna towarzyszyć także naszej walce, aby żyła w nas pamięć starej chrześcijańskiej sady: I n d u b i i s l i b e r t a s, i n n e c e s s a r i i s u n i t a s, i n o m n i b u s c a r i t a s.

Wtedy droga oczyszczająca, którą musimy przejść nie będzie tak bolesna nawet na tych wybojach, na których trzeba będzie nazwać po imieniu rzeczy, które przynoszą u j m ę n a m... n i e K o ś c i o ł o w i.

* * *

Ciekawy pod tym względem wysiłek widzimy wśród młodych katolików. Myślę o książce P i o t r a - H e n r y k a S i m o n: *Les catoliques, la politique et l'argent*. Katolicyzm francuski, zwłaszcza młody, może być pod niejednym względem wzorem dla nas. Niemniej społeczeństwo katolickie we Francji jest tak samo, jak gdzie indziej bezpłodne, zamknięte w okopach św. Trójcy, drżące o swoją całość. Zaginęła nawet świadomość, że trzeba przejść do ofenzywy. Jak wszędzie zamuliły się przewodniki łączące życie dzisiejszego chrześcijaństwa z tem, co został jako wzór niedościgły. A przez to nie dociera do świadomości wiernych to, co jest duszą Kościoła — jego charakter apostolski. I tam nawet, gdzie jest pewność, że się żyje po chrześcijańsku, pozostał tylko zwid czegoś, co było niegdyś mocą.

Ocenienie działalności katolików francuskich w ciągu ostatniego pół wieku i zestawienie ich z zasadami kościoła jest zadaniem Piotra Simon. Możemy się dużo nauczyć z jego książki, choć wiele w niej materjału lokalnego, obcego dla polskiego czytelnika. Poza tem bierze temperatura książki — za którą — czujemy wydawnictwo „Esprit". Nie wszystkie rozdziały są w równym stopniu opracowane, zdaje się, że jest dużo pośpiechu publicystycznego w opracowaniu materjału — ale bije w oczy rzadka przy takich rozważaniach — prawość bezwzględna i oddanie się sprawie na całego, bez kompromisu.

Cała rozprawa ujęta pod społecznym kątem widzenia. Bo tu są największe przewinienia katolików. Dopiero ostatnio dochodzimy do zrozumienia straszliwych skutków schizmy między moralnością prywatną i społeczną. Simon nie szuka, nie oświetla przyczyn. Ale nie bez satysfakcji wewnętrznej dla swoich przekonań muszę stwierdzić, że już kilkakrotnie w katolickiej literaturze nowoczesnej spotkałam się z zdaniem, że nie bez winy jest tu i pedagogika chrześcijańska, która zagubiła nici wiążące ją z tradycją starochrześcijańską, a zaplątała się na bezdrożach ascetyki średniowiecznej tworzonej ściśle i wyłącznie dla zakonów i z najgorszymi skutkami przystosowanej jeszcze i dziś do życia ludzi świeckich.

Simon nie analizuje genetycznie zjawiska, uważa je za najgorsze zło chwili dzisiejszej i nie szczędzi słów, aby potępić dwa najbardziej karygodne błędy wiernych: zdrady duchowej i duchowej dezercji. Z d r a d a d u c h o w a — nie będę o niej mówić, choć rozpowszechniona jest i u nas, w Polsce psychologja ludzi, którzy rozgrzeszają siebie z obowiązków chrześcijańskich na forum społecznem. Gorszą pod pewnym względem jest d e z e r c j a d u c h o w a jak ją Simon nazywa. „Przez skrupuł ortodoksji, przez obawę zakażenia się światem, zabarykadowujemy się w Kościele i odmawiamy wszelkiej współpracy i normalnej wymiany z tymi, którzy tworzą nasze państwo, nie dzieląc z nami naszej wiary" (21 str.). Życie wewnętrzne? Któż zaprzeczy, że jest rzeczą najważniejszą. „Nie będziemy jednak świętymi — stwierdza kategorycznie Simon — jeżeli zadowoleni z pewnej wierności w praktykach i pogody ducha i porządku wewnętrznego zapoznajemy dobro ogólne" (137 str.).

Błąd ten jest klęską katolicyzmu francuskiego ale nie tylko francuskiego i wiemy dobrze, jak to po tysiąckroć zdegenerowane: „żyjemy nie dla świata" — było pożywką dla Encyklopedystów XVIII i komunistów XIX w. Ta fałszywa z gruntu idea odpycha i dziś dusze od Kościoła. Fałszywa, bo stoi w sprzeczności z humanizmem chrześcijańskim, z myślą o powołaniu chrześcijańskiem, bo prowadzi wprost do wykluczenia siebie, a przez to i Chrystusa ze wspólnoty społecznej.

Zresztą „ta troska, by żyć zdala od „nieczystych", ta obawa przed każdem spojrzeniem poza owczarnię, ten lęk przed każdem ryzykiem i przedsięwzięciem, cała ta roztropność pobożna" nie chroni przed złem. „Myślę tutaj o łatwości, z jaką... taki dobry chrześcijanin czuje się zbyt uczciwym, by podać rękę politykowi antyklerykalnemu, a pozwala, by błędne poglądy społeczne, namiętności nacjonalistyczne, fałsze kapitalistyczne mąciły jego własną świadomość, taki inny — będzie czuł się w obowiązku zrobić afront komuś rozwiedzionemu ale wtedy, gdy mu nakażą względy światowe, potrafi przekupić świadków, aby zmylić sąd kościelny i unieważnić małżeństwo córki" (27—28 str.).

Bo trudno uniknąć kontaktu z otoczeniem. I nie troska o życie wewnętrzne kształtuje psychologję takiego katolika. Pycha — mówi Simon — zapewne, ale u nas przy naszej dużo niższej świadomości religijnej — trzeba dodać: lenistwo. Tak wygląda to zgrubsza. Są jednak i subtelniejsze odcienie czynników, które sprowadziły na bezdroża. Pewność siebie, konserwatyzm i pogarda techniki, to trzy bożyszcza społeczeństw katolickich. Im poświęca Simon chyba najciękawsze dla nas strony. P e w n o ś ć s i e b i e, nadużycie tego słowa, przeniesienie pewności religijnej na dziedzinę myśli i... na swoje postępowanie, stąd ton lekceważenia wszelkich trudności umysłów niereligijnych, stąd wzgarda dla ich dorobku, jakby uczony, czy filozof ateista był zgóry skazany na to, że nigdy nic prawdziwego nie powie, stąd dalej potępienie wszelkiej współpracy z obozem niekatolickim. Simon cytuje ostatnie występy przeciw Maritainowi i Mauriac'owi. My moglibyśmy także zacytować sprawy podobne... jakże smutne i jak bolesne...

Prawdy objawione — ależ nie dają one gwarancji, że się nie pobłądzi, nie dają odpowiedzi na wszystko. Zostaje tyle ciemności metafizycznych, egzegetycznych, zostają niezgłębione tajniki duszy ludzkiej i trudności życia społecznego. Chrześcijanin musi czuć się solidarnym z ludzką słabością... a nawet czuć się solidarnym z tymi, którzy szukają w świetle fałszywem. Owszem, mówi dalej Simon, powinniśmy się czuć upokorzeni, że oni szukają i znajdują „wtedy, gdy my śpimy". Tu według niego leży źródło sympatji niewierzących dla Mauriaca a niechęci dla Bourgeta, który nie umiał z dostateczną pokorą spojrzeć na społeczeństwo katolickie. Na separację i opozycję w stosunku do wszystkiego, co się dzieje w świecie wpływa także k o n s e r w a t y z m będący wypaczoną formą wierności w stosunku do prawd, które w Kościele są niezmienne. A u t o r y t e t, T r a d y c j a, P o r z ą d e k — to są naprawdę konstruktywne siły Kościoła, ale tam „gdzie zaczyna się dewaloryzacja inteligencji konstruktywnej na rzecz instynktu konserwatywnego, gdzie systematyczne przyjmowanie rzeczy ustalonych prowadzi do zdrady wartości duchowych, gdzie pojęcie porządku definjuje się przez nienaruszalność narzuconą zewnątrz i nieusprawiedliwioną wewnętrznie" (34) tam zaczyna się błąd. Bo — oczywiście — nie każdy autorytet jest dobry, nie każ-

da tradycja warta utrzymania, nie każdy porządek wart obrony.

Brak zrozumienia tych rzeczy odbił się na życiu Kościoła francuskiego, z całą bezwzględnością rozdziera Simon rany, wykazując wszystkie błędy, jakie popełnili katolicy francuscy w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Pokazuje niczem nieusprawiedliwioną negatywną postawę katolików francuskich wobec ustroju demokratycznego. Stojąc w szeregach opozycji nie mogli oni nie widzieć, że kraj chce Republiki, a oni swojem stanowiskiem wkładają argument w ręce partyj antyklerykalnych i pośrednio przyczyniają się do tego położenia Kościoła we Francji, jakie widzimy od pół wieku prawie. Dalej wykazuje Simon to, o czem nie bardzo wiemy, że Rzym, który początkowo nie wypowiadał się w tej kwestji już za Leona XIII potępił stanowisko katolików francuskich przez nuncjusza Czackiego. Rzym szybko zrozumiał, że choć partja republikańska była ateistyczna, nie musiała być taką Republika. Niestety zacietrzewieni katolicy nie dali się o tem długo przekonać.

Mimo woli przypominają się nam refleksje z przed lat 15. Czy stosunek kleru i pewnych grup katolickich do tych, co tworzyli rzeczywistość polską był zgodny z myślą Kościoła wyrażoną przez ówczesnego nuncjusza. Ale my wiemy, że tak jak i we Francji oblicze tego stosunku formowała nie wielka polityczna myśl Kościoła lecz pewne dobrze znane tu i tam interesy grup politycznych i socjalnych.

Tak samo jeszcze fałszywiej ustosunkowali się katolicy francuscy do powstającej kwestji społecznej. Simon przypomina szereg wystąpień, przemówień działaczy katolickich i stwierdza, że nie znajduje wśród nich ani słowa o eksploatacji kapitalistów, o nędzy ludu, o odpowiedzialności bogatych, o sprawiedliwości chrześcijańskiej. Co gorsza nie znalazł posłuchu Lacordaire, Les Villeneuve, Bargemont, nie przyjęło się i wypaczyło przepiękne dzieło Ozanama. Katolicy spóźnili się nawet w uznaniu godności osobistej robotnika — stwierdza Simon.

„Nie pojmiemy nigdy jakim ciężarem w historji stało się to, że przeciwnicy Kościoła Chry-[illegible] akiś Proudhon, ja-[illegible]rks czuwali i cier-[illegible]wiedliwości wśród [illegible] którzy spali“ (35).

[illegible]ko katolików francuskich mimo przewrotów na świecie nie zmieniło się wcale. Nie dosłyszeli encykliki „Quadragesimo anno“ potępiającej nie dwuznacznie kapitalizm. Jest coprawda ruch młody. Simon wspomina Tygodnie Społeczne i ruch młodzieżowo-robotniczy t. zw. „Jocisme“, ale ogół katolików francuskich nadal myśli, spogląda i głosuje na prawo, powtarzając dawne błędy o tyle groźniejsze, że jak dziś już sami widzimy sytuacja we Francji i nie we Francji staje się coraz bardziej groźna, a „skandal XIX w.“ jak Pius XI nazywa „rozwód Kościoła i mas robotniczych“ wydaje swoje owoce.

Jeżeli przytaczam z takim zapałem słowa Piotra Simon to przedewszystkiem dlatego, że dałyby się one niemal całkowicie zastosować do naszych stosunków. I jakkolwiek dla niektórych mogą te słowa nieco ryzykownie brzmieć na tle dzisiejszej wewnętrznej sytuacji francuskiej, to jednak trzeba taką postawę uznać za ostatnią broń społeczeństw katolickich. W tej wielkiej licytacji o wartości świata nie możemy się dać przelicytować komunistom. Są chwile, kiedy chory organizm możemy wesprzeć tylko operacją. I dlatego jakkolwiek słusznie podkreśla Simon, że fizjologja chrześcijanina jest fizjologją konserwatysty, to jednak co innego jest konserwatyzm Kościoła i jego wiernych, a co innego konserwatyzm takiej czy innej grupy politycznej, czy warstwy społecznej. Zresztą zapominamy, jak mówi o. Lallement, że często porządek, którego bronimy jest nieporządkiem. Bo porządek prawdziwy musi się wspierać na miłości i sprawiedliwości. Chrześcijanin musi o tem pamiętać i musi do tego przez całe życie zdążać. Nie może się uspokoić, póki nie zapanuje Królestwo Boże. I dlatego jeśli chce być chrześcijaninem naprawdę musi być z powołania rewolucjonistą, choć w praktyce winien się trzymać linji Kościoła, „który nie chce ani ustabilizowania nieładu, ani nieładu w przemianach“. Nie o skomunizowanie mas chrześcijańskich chodzi Simonowi, tylko o to, aby przynajmniej pod wpływem straszliwych przewrotów społecznych ocknęli się chrześcijanie ze śpiączki i wprowadzili w nową historję zasady miłości i sprawiedliwości.

Jest jeszcze jeden czynnik, który bezpłodnymi czyni katolików, jeżeli chodzi o wpływ ich na życie społeczne. To pogarda techniki, jak to trochę dziwnie nazywa autor naszej książki. Błąd ten jak i oba poprzednie może wydrzeć katolikom możność kształtowania oblicza najbliższej historji. Pogarda techniki, bo taką jest postawa katolików wobec organizacji życia społecznego. Jak dobrze znamy i z własnego terenu: „udział w życiu społecznem — to nieważne. Gdyby wszyscy byli chrześcijanami prawdziwymi nie byłoby kwestji społecznej“. Co za złudzenie. Że wszystko stanie się łatwiejsze — to fakt. „Alež zostanie w dalszym ciągu konieczność realizowania sprawiedliwości w życiu doczesnem, będziemy musieli obserwować fakty, krytykować idee, przedstawiać plany, budować, będziemy musieli właśnie wtedy na moralności oprzeć całą technikę życia“ (51).

Dziś musimy stwierdzić, że nie możemy być naprawdę sprawiedliwymi, jeżeli mechanizm społeczny, w którym żyjemy, jest zły. Tu leży właśnie największa tragedja, że nieprawość rodzi się jakby poza świadomością i wolą tych, którzy powodują zło. „Ci wszyscy, których atakujemy, a więc wielcy fabrykanci broni, spekulanci na giełdzie, wszyscy ci, co wyzyskują człowieka, to może nawet uczciwi ludzie, a nawet bogobojni chrześcijanie. Lecz przykładają oni rękę do rzeczy niegodziwych... I biada im, jeżeli w głębi serca nie czują co najmniej źdźbła niepokoju. Co do nas powinniśmy wiedzieć, że nasza dobra wola nie zbawi nas, jeżeli polegając na niej zignorujemy zagadnienie techniki i nie weźmiemy udziału w akcji“ (50). Wielu zapyta, czy katolik może coś zrobić?

„Oczywiście, odpowiada Simon, nie uda się każdemu z nas zosobna usunąć nędzy i bezrobocia... Nie uda się zapobiegnąć wojnom, ani przeszkodzić uczonym i technikom czynić wynalazki, które pomnożą żniwo śmierci, słowem tworzyć celem zniszczenia: cóż! nie zależy nawet od nich, by wyrzec się tej nieludzkiej pracy... Lecz jedna rzecz od nas zależy i jest możliwa: wtedy gdy bierzemy udział w złem rzekomo niezwyciężonem — nie usprawiedliwiajmy go jako absolutnego dobra; zmuszeni przez okoliczności do czynów nieprawych, ratujmy przynajmniej czystość naszego sądu“ (198—199).

A więc znów przebudowa pojęć. Ale nie tylko. Simonowi wyraźnie chodzi o czyn, o aktywny udział katolików w życiu ogólnem. Dlatego ostatnie strony poświęca sprawom pozytywnym, teoretycznym i praktycznym. Bardzo ciekawą jest sprawa pluralizmu politycznego. Odłóżmy jednak te sprawy na potem. Zamknijmy nasze sprawozdanie uwagami Simona o Akcji Katolickiej.

Ta sprawa tak dziś ważna w Kościele znajduje w nim rzecz zrozumiała gorącego wyznawcę, który z namiętnością niemal zwalcza tych wszystkich, którzy zacieśniają wielką myśl Rzymu, przekonani, że celem jej „nie jest organizowanie wojen zakrystji z lożami“. Akcja Katolicka ma tchnąć ducha apostolskiego w masy wiernych, i to apostolskiego w najszerszem tego słowa znaczeniu, ma otworzyć szeroko wrota, aby chrześcijanie a z nimi Chrystus i Jego duch wrócił na wszystkie odcinki życia ogólnego. Lecz, aby to się mogło stać, trzeba, aby katolicy wyciągnęli ręce do tych wszystkich, co nie uznając dogmatów chrześcijańskich szukają prawdy i praktykują naturalnie cnoty sprawiedliwości i ludzkości. Taki jest bowiem duch Kościoła. I zresztą żadna „z rodzin“, które tworzą wspólnotę społeczną a więc i katolicka jak inne nie mogą same zastosować lekarstw niezbędnych współczesnemu światu (209).

WITOLD NOWODWORSKI

TRZEBA PATRZEĆ SZERZEJ

Węgry niegdyś potężna monarchja, dziś niewielkie państewko okrojone do $\frac{1}{3}$ części swych terytorjów nie rezygnują z ambicji odegrywania w życiu międzynarodowem poważnej roli. Dziś tylko swój wysiłek skierowały w inną dziedzinę. Mężowie stanu dzisiejszych Węgier jako cel dążeń narodowych stawią utrzymanie i pomnożenie zdobyczy kulturalnych. Nauka, literatura i sztuka to są dziedziny wzmożonego wysiłku narodu węgierskiego. U podstawy tej polityki leży wiara w moc objektywną, siłę atrakcyjną kultury wogóle a nauki w szczególności. Węgry bowiem nie wyrzekły się nadziei odzyskania swych strat terytorjalnych.

Czechosłowacja również wykazuje na tem polu ruchliwość. Oto w historjografji czeskiej wiele uwagi poświęca się dziejom powszechnym. Niech liczą się narody z wynikami osiągniętemi przez naukę historyczną czeską.

Czy Polska na tem polu ma iść na szarym końcu? Czy stale nas będą emocjonować jedynie wyczyny naszych zapaśników sportu? Czy tylko rekordy światowe osiągane przez Walasiewiczównę, Kusocińskiego i innych mają głaskać naszą dumę narodową?

W budowaniu rzeczywistości polskiej budzenia prężności i dynamiki ducha narodu polskiego musi się znaleźć miejsce dla twórczości naukowej. Potrzeby nauki, jej niedomagania i bolączki muszą interesować ogół społeczeństwa. Tymczasem jak niewiele uwagi poświęca problemom nauki opinja publiczna. W prasie codziennej zrzadka ukazują się artykuły dotyczące żywotnych zagadnień z dziedziny organizacji pracy naukowej.

Postęp każdej dziedziny życia człowieka jest zależny nietylko od twórczych i wielkich jednostek, ale też i od należytego zorganizowania pracy ludzkiej wogóle. Narody zachodnio-europejskie dawno tę prawdę już sobie przyswoiły. W Niemczech, we Francji, Anglji i Włoszech wielką wagę przywiązuje się problemom organizacyjnym; dlatego tam realizuje się przedsięwzięcia na wielką skalę. Rosja Sowiecka idzie ich śladem. W Polsce budzi się zrozumienie dla tych spraw, ale jakże jest jeszcze niedostateczne. Zamykamy się w kręgu własnych kłopotów i odgradzamy się obojętnością i niezrozumieniem od spraw wagi pierwszorzędnej. Na IV Zjeździe Bibljotekarzy Polskich, gdzie poruszano sprawy organizacji bibljotek narodowych, zgłaszano postulaty w zakresie organizacji bibljografji polskiej, stosunkowo nieliczny był udział profesorów wyższych uczelni.

Stąd to niedocenianie roli bibljotekarstwa w życiu naukowem — błędne wyobrażenia o pracy bibljotekarza, traktuje się go, jako pracownika administracyjnego, załatwiającego techniczno-manipulacyjne czynności związane z książką, a nie dostrzega się trudnych problemów organizacyjnych. Wyrazem tej obojętności społeczeństwa i czynników decydujących względem tych spraw jest bezskuteczna walka bibljotekarzy naukowych o poprawę bytu, walka o zrównanie ich w prawach z innemi siłami pomocniczemi Uniwersytetu. W dzisiejszej rzeczywistości polskiej, jeżeli nie chcemy zrezygnować z ambicji kroczenia w szeregu przodujących pod względem kulturalnym narodów, sprawa rozumnej gospodarki groszem publicznym w dziedzinie organizacji twórczości naukowej wysuwa się na plan pierwszy. Bibljoteki nasze uniwersyteckie są niesłychanie ubogie w dzieła naukowe obce. A wszak bez kontaktu myśli ze światem nauki zagranicznej niemożliwy jest rozwój badań naukowych wogóle.

Obok bibljotekarzy w jednym szeregu w służbie nauki stoją archiwiści i muzeolodzy. Ci, którym powierzona jest piecza nad zabytkami naszej przeszłości — stają również wobec problemów jak najwydajniejszego wyzyskania tych skarbów dla rozwoju nauki polskiej. Zagadnienia te łączą się ściśle ze sobą i wiążą organicznie.

Niewątpliwie ośrodkiem twórczej myśli naukowej są i prawdopodobnie będą wyższe uczelnie. W nich skupi się rzetelna praca badawcza ale i one nie wolne są od bolączek. Życie wysuwa konflikty, których rozwiązania domaga się myśl ludzka. Oto na łamach „Nauki Polskiej“ (t. 21) prof. Rutkowski postawił pod znakiem zapytania wpływ uniwersytetów na rozwój twórczości naukowej.

Zadania pedagogiczne odsuwają na plan dalszy pracę naukową profesorów, do której w pierwszym rzędzie są powołani. Wykłady, egzamina, posiedzenia Rad Wydziałowych, udział w komisjach pochłaniają czas, któryby z pożytkiem mogli wyzyskać dla twórczej pracy badawczej. W artykule niniejszym nie kuszę się o rozwiązanie tych spraw, wymagających głębszego zastanowienia i większego doświadczenia, pragnę tylko podać garść uwag natury ogólniejszej.

W literaturze naukoznawczej w Polsce zauważyć można wielką rozpiętość dążeń i kierunków. Wychodzi się od swego podwórka.

Na wspomnianym Zjeździe bibljotekarzy jeden z referentów dr. Smolka, docent i bibljotekarz proponował, aby wyboru literatury naukowej zagranicznej, przeznaczonej do zakupu przez bibljoteki uniwersyteckie dokonywali profesorowie, gdyż jako fachowcy najlepiej będą się orjentowali w potrzebach dotyczących własnej specjalności.

Projekt ten spotkał się z ujemną oceną krytyczną innych bibljotekarzy. Wskazywano na wąski nieraz zakres specjalności reprezentowanej przez profesora, na smutne doświadczenie wyniesione z organizacji bibljotek zakładów uniwersyteckich i wreszcie na konieczność odciążenia nawału zajęć profesorów, których wszak zadaniem jest twórcza praca naukowa. Niewdzięczną pracę informacyjną, żmudną robotę poszukiwań bibljograficznych powinien wziąć na siebie bibljotekarz. Myślę, że zakres pracy bibljotekarzy naukowych można wydatnie rozszerzyć. Czyż bowiem wykładów lub ćwiczeń wstępnych, wprowadzających w tok pracy badawczej dla studentów pierwszego roku studjów wydziałów: humanistycznego, prawnego, teologicznego nie można powierzyć wykwalifikowanym bibljotekarzom, jak to się dzieje w Niemczech? Oni wszak dobrze są obznajomieni ze środkami pomocniczemi (encyklopedje, słowniki, bibljografje), które niezbędne są dla każdej samodzielnej pracy umysłowej wogóle a pracy badawczej w szczególności. Wykłady z archiwistyki, dyscypliny niezbędnej dla historyka, mogą prowadzić zaangażowani czynnie w pracy archiwalnej urzędnicy. Takie wykłady mogą być przy niewielkiej ilości słuchaczy prowadzone w gmachach archiwów a nawet połączone z praktycznemi ćwiczeniami. Wiedzę muzeologów można wyzyskać dla wykładów z dziedziny ochrony zabytków a nawet — historji sztuki. Takie rozszerzenie zakresu pracy tych zapoznanych przez ogół pracowników naukowych sądzę, że przyniesie obustronną korzyść. Praktyka bowiem, doświadczenie wyniesione z codziennej pracy, stanowi nieraz kapitał, trwalszy i mocniejszy niźli subtelny gmach wiedzy teoretycznej. Kapitał ten da się zwłaszcza z pożytkiem zinwestować w dziedzinie zadań pedagogicznych, przekazywania swej wiedzy innym. Z drugiej strony pobudzi energję twórczą tych, którzy służąc pracy badawczej innych, nie widzą owoców swojej własnej. Wynagrodzenie, jakie będą pobierać za swą pracę pedagogiczną, pozwoli im skoncentrować wysiłek umysłowy na własnej specjalności. Uniknie się niepotrzebnego rozproszenia w pracy, owego rozmieniania siebie na drobną monetę i to tylko dla zapewnienia sobie cokolwiek znośniejszych warunków istnienia.

Rozbieżność dążeń, projektów wśród pracowników naukowych jest jeszcze większa. Nie mogę pominąć jednego wymownego faktu na potwierdzenie prawdziwości zdania powyższego. Z chwilą odbudowania państwowości polskiej, bibljotekarze stanęli wobec doniosłego zadania organizacyjnego: ujednostajnienia przepisów katalogowania. Opracowywano projekty, debatowano, uzgadniano, wygładzano, porównywano zarysy nowej przyszłej instrukcji katalogowej ze wzorami zagranicznemi, aż wreszcie wciągu lat 10 żmudnej pracy uzgadniania i wyrównywania ukazała się w r. 1934 jednolita polska instrukcja katalogowania alfabetycznego. Wzięto się więc do ciężkiej roboty przeredagowywania istniejących katalogów podług nowych przepisów. Ale oto w roku 1936 nowa niespodzianka. Akademja Umiejętności dokonała zbożnego dzieła zmiany pisowni polskiej, które zostały zatwierdzone przez czynniki oficjalne, jak wspomniana instrukcja katalogowania. Bibljotekarstwo więc polskie stanęło przed możliwością nowej „twórczej“ pracy dostosowywania swych katalogów do nowych zmienionych przepisów ortograficznych.

Jest to ilustracja naszej specjalnej predylekcji do syzyfowych prac — ilustracja

tem wymowniejsza, że jest tylko małym fragmentem tych komplikacyj i trudności, jakie pociągnie za sobą owa reforma dokonana przez naszą najwyższą instytucję naukową. Albo inny przykład. Ruchliwy i zasłużony Instytut Bałtycki w Toruniu, opublikował broszurę, w której trzech autorów (Kostrzewski, Chrzanowski i Borowik) uzasadnia potrzebę zorganizowania wyższej uczelni na Pomorzu. Nie wchodzę w meritum zagadnienia, ale stwierdzam, że projekt ten idzie oczywiście wbrew wywodom artykułu prof. Rutkowskiego. Powołanie do życia nowej uczelni wyższej, choćby w postaci szkoły nauk politycznych czy pedagogjum pociągnie za sobą konieczność zaangażowania wykwalifikowanych sił naukowych. Ci, jak sądzę, będą się rekrutować z pośród istniejącego, obarczonego wykładami, egzaminami, udziałem w posiedzeniach ciała profesorskiego. Względy natury politycznej nie mogą iść na pierwszy plan przed względami natury naukowej. Nie neguję potrzeby uniwersytetu pomorskiego, ale sądzę, że jeszcze nie jesteśmy w stanie powołać go do życia.

Niech ten nowy siódmy uniwersytet w Polsce będzie naturalnym wynikiem rozwoju nauki polskiej, jej ekspansji, wyrazem potrzeby zużytkowania twórczego zapasu sił naukowych a — nie dopasowywania swych możliwości do zadań politycznych. Wilno ze swoją Szkołą Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej może być przykładem, — tak sądzę — niepotrzebnego marnowania energji twórczej, która mogłaby być zużyta na podniesienie wagi gatunkowej, rozszerzenia zakresu wpływów wszechnicy batorowej — owego emporium semptentrionis i skarbnicy ducha, jaką widzieli ją w swych planach i marzeniach obaj jej wielcy mężowie: Fundator i Wskrzesiciel.

Z PRASY

ZNOWU LECHICKI

„Bunt Młodych" (10. X. 36) podaje obszerne cytaty ze „Zwiastuna Ewangelicznego" (nr. 39), który ostro napada na K.A.P., prasową wystawę watykańską, szereg pism mniej lub więcej katolickich. Dalej

> atakuje „Zwiastun Ewangeliczny" jednego z redaktorów swego czasu chadeckiego Nowego Kurjera w Poznaniu, który pisywał romanse kryminalno-pornograficzne, nie wymienioną po nazwisku katolicką dziennikarkę za to, że przetłumaczyła pornografję Smitha „Kobiety zbytku", poznańską „Kulturę" za to, że nie piętnowała „Profesji pani Warren" Shawa, Przegląd Powszechny za to, że powierzył dział recenzji p. Morstinowej doniedawna obcej katolicyzmowi, OO. z Niepokalanowa za „Rycerza Niepokalanej", Jezuitów z Krakowa za „Posłańca Serca Jezusowego", a następnie jednego ze współpracowników „Przeglądu Katolickiego" za to, że napisał panegiryk konkursowy dla „Wiadomości Literackich" i wziął za to 200 zł. nagrody.

Otóż co jest w tem wszystkiem oburzające. Nie to ostatecznie, że wroga katolicyzmowi prasa napada na wydawnictwa katolickie, ale że robi to p. Czesław Lechicki, autor słynnego „Przewodnika po beletrystyce" wydanego przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej. Dziwną zaprawdę płaszczyznę obrał p. Lechicki krytyki prasy katolickiej w Polsce. „Bunt Młodych" pisze na ten temat:

> Aczkolwiek uważam ze swej strony za wielce pożyteczne szersze przedyskutowanie sprawy prasy katolickiej w Polsce, jednakże nie uważam absolutnie za właściwe, aby podobną dyskusję miał wszczynać publicysta katolicki na łamach Zwiastuna Ewangelicznego. Nie można wreszcie jednym tchem, jak to czyni p. Lechicki, napadać na IKC i wydawnictwa OO. z Niepokalanowa czy Jezuitów i robić niesmaczne napaści personalne. Jest jednakże zbyt poważna różnica pomiędzy temi wydawnictwami, aby można je było stawiać na jednej płaszczyźnie. Może to lub tamto nam się nie podobać w pracy wydawniczej zakonów, nie możemy jednakże nie stwierdzić olbrzymiej wprost roli, jaką te wydawnictwa dla Kościoła Katolickiego odgrywają, nie możemy ich bezapelacyjnie potępiać, gdyż podcinamy gałąź, na której siedzimy. Trzeba natomiast ostro i zdecydowanie wystąpić przeciwko tym wydawnictwom, które ze względów oportunistycznych popierają konjunkturalnie katolicyzm. Najgorsi są właśnie tego rodzaju „przyjaciele".

Uważamy, że Naczelny Instytut Akcji Katolickiej winien w tej sprawie się wypowiedzieć i zająć wobec p. Lechickiego jakieś zdecydowane stanowisko. P. L.

MARJA MORSTIN-GÓRSKA

NIEZNANEMU BOGU

Nakładem Koła Studjów Katolickich i Naukowego Instytutu Katolickiego ukazała się tej wiosny książka KS. KONSTANTEGO MICHALSKIEGO pod znamiennym tytułem: **NIEZNANEMU BOGU.** Dzieło to odbiega swym zakresem od poprzednich naukowych prac autora, znakomitego historyka filozofji — składa się bowiem z artykułów drukowanych w „Czasie" i kilku odczytów, wygłoszonych z okazji zjazdów katolickich. Pisane w różnym czasie i różnych okolicznościach są one jednak związane wewnętrzną treścią ideową — to też zebranie ich razem jest wielką zasługą wydawców. Ich nieprzemijające wartości uwypukliły się w tem zestawieniu i czynią z tej książki niezwykłe wydarzenie w naszej dość sennej literaturze religijnej.

W kilku poważnych pismach katolickich (Verbum, Czas) omawiano już studja Ks. prof. Michalskiego i podkreślano głęboką znajomość filozofji tomistycznej, będącej jakoby „tłem" poglądów autora.

Nie czuję się powołaną do oceny filozoficznych wartości w nich zawartych, ale też sądzę, że w tym cyklu, przeznaczonym dla szerokich kół inteligencji polskiej, nie chodziło wybitnemu uczonemu o przedstawienie jakiegokolwiek systemu metafizycznego, ale raczej o rozproszenie pewnych pokutujących w naszych głowach uprzedzeń i błędów, które wynikają z niezrozumienia zasadniczych prawd teologji i filozofji chrześcijańskiej. Jego książka jest bliską życia i powstała z gorącego zainteresowania się życiem współczesnem. Ks. prof. Michalski nie żąda tu od swych czytelników subtelnej znajomości myśli scholastycznej — ale chce wyrobić w nich ogólną postawę ideową zgodną z jej założeniami i mogącą znaleźć zastosowanie w rozwiązywaniu dzisiejszych konfliktów i trudności.

Nie bez powodu pierwszy rozdział książki wprowadza nas między słuchaczy św. Pawła, gdy w areopagu ateńskim ogłasza nową religję miłości a jednocześnie wszystko, co jest szlachetnem w kulturze pogańskiej umieszcza także na Ołtarzu, chociaż poświęconem Nieznanemu Bogu. Słowa Apostoła: „w Nim (w Bogu) żyjemy, poruszamy i jesteśmy" są tą prawdą, zapewne znaną, ale według autora nie dość jasno uświadomioną, którą pragnie nam wpoić jako pierwszą zasadę tego chrześcijańskiego światopoglądu.

„Bóg jest bliższy jednostki ludzkiej i każdego narodu niżli one same są bliskie" (str. 164). W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy — w Nim więc pracujemy i tworzymy kulturę ludzkiej społeczności. Ks. Prof. Michalski często powraca do myśli Bergsona o duszach otwartych i zamkniętych i stara się nam wykazać, że chrześcijaństwo będąc religją opartą na miłości powinno otwierać na oścież nasze dusze, dla wszystkiego, co z Boga wzięło swój początek. Przeciwnie, fałszywe mity, namiastki prawdziwej religji zamykają serca ludzkie w murach nienawiści, stawiając coraz nowe barjery między człowiekiem a człowiekiem a nawet między organicznie związanemi pojedyńczemi władzami samej istoty ludzkiej. „Niebezpieczeństwo zjawia się tam, gdzie w imię chrześcijaństwa zaczynają przemawiać dusze zamknięte zamurowane, błogosławieństwo wchodzi w duchową atmosferę tam, gdzie przemawia w imię Chrystusa dusza otwarta" (str. 15). Takiemi duszami otwartemi przez miłość Chrystusową byli i św. Paweł i św. Augustyn i św. Tomasz z Akwinu. W przeciwieństwie do niektórych zbyt ciasno patrzących tomistów, Ks. Prof. Michalski zaznacza, że, ktoby chciał dziś całą wiedzę zamknąć w filozofji św. Tomasza, nie dopuszczając do niej żadnych świeżych zdobyczy genjusza ludzkiego, fałszowałby tylko myśl swego mistrza, największego genjusza średniowiecza, który „otwierał szeroko ramiona na przyjęcie skarbów starożytnej myśli filozoficznej". „Tomistyczna filozofja uważa się za filozofję nie zamkniętą, lecz otwartą, tak, iż wszelkie wyniki myślenia nawet gdzieindziej zdobyte z natury rzeczy do niej należą" (str. 15). Duszą otwartą musimy spojrzeć na otaczający nas świat, aby dojrzeć, czy nawet w prądach błądzących nie kryje się ziarno prawdy, które dałoby się oczyścić z błędu i zużytkować. Dusze zamurowane przemawiające w imię chrześcijaństwa są też zapewne winne nagromadzeniu się fałszywych pojęć o niem — tak uparcie zakorzenionych u większej części intelektualistów współczesnych, zwłaszcza w ich starszem pokoleniu, wyrosłem w atmosferze XIX wieku. Gorącemi słowy zwalcza Ks. Prof. Michalski te nieuzasadnione uprzedzenia: „Zniekształca się dzisiaj samą ideę chrześcijańską, głosząc, że z Chrystusem poszły na ludy germańskie czy inne smutek słabości czy cierpienia i śmierć tego co piękne, radosne, zdrowe, silne i bujne. Człowiek to dzieli uparcie to, co Bóg złączył — dzieli i w myśli teoretycznej i w praktyce życia przyrodę od człowieka, krew od ducha, naturę od łaski" (str. 94). „Godzimy się dzisiaj zbyt pośpiesznie na schizmę między rozumem a wiarą, myślą a sercem, człowieczeństwem a łaską, g r z e s z ą c c i ą g l e p r z e c i w k o p r a w d z i e. Mogą się zjawiać napięcia między jedną a drugą stroną, ale od napięć daleka droga do schizmy i do kapitulacji" (str. 42). „Nie należy oddzielać rządów Opatrzności od człowieka, od jego myśli i genjuszu, a tymczasem na gwałt się jedno od drugiego oddziela, uznając za narzędzie Opatrzności tylko deszcz i słońce, tylko żywioły, a nie chce się widzieć, że najpotężniejszem narzędziem Opatrzności na ziemi jest człowiek i jego genjusz" (str. 75). W tem ujęciu sztucznem staje się konflikt wiary z wiedzą — szarpiącej tak namiętnie umysły ubiegłego wieku. Wszak rozum ludzki „nie jest skądinąd rodem tylko od Boga". Wszelkie te nieporozumienia płyną, zdaniem autora, z jednostronności myśli — znikają kiedy się spojrzy szeroko i wszechstronnie na problemy religijne. Cóż jednak daje to szerokie spojrzenie, które dostrzega wszędzie ślady Boga? Nic innego tylko miłość, odpowiada nam Ks. Prof. Michalski — miłość płynąca od Boga do człowieka i od człowieka do Boga. „Nie ulega wątpliwości, że miłość nie poznaje, ale to także pewne, że skoro miłość ożywi naszą myśl, to myśl dostaje skrzydeł, docierając w intuicyjnych skrótach tam dokąd z trudnością dostaje się systematyczne rozumowanie" (str. 66). Prawda tego stwierdzenia objawia się nam już na kartach książki, gdyż mówiąc o miłości uczony filozof wpada jakoby w natchnienie poety, tak żywą, tak gorącą falą toczą się jego słowa i obrazy: „Dwukrotnie w dzieje nasze wkroczył według Biblii Duch Święty — raz kiedy powstawał świat natury, drugi raz kiedy się rodził świat łaski. Obydwa światy poczęły się w twórczem tchnieniu tego, który w jednej Bożej Istocie jako uosobiona miłość odwiecznie od Ojca i Syna pochodzi. Obydwa światy należą do siebie, gdyż obydwa z jednej zrodziły się miłości, obydwa są Boże i Boże w nich pracują siły" (str. 119). Ta miłość Boża spływa na człowieka przez Ołtarz, przez Eucharystję — człowiek łącząc się z nią, przyjmując Przenajświętszy Sakrament, napełnia swoją duszę miłością, dającą mu „dobre oko" które potrafi dojrzeć „poza materją ducha, poza duchem Boga". Z wielką wnikliwością psychologiczną określa autor sposób, w jaki ona działa na władzę poznania: „Przez miłość i tylko przez miłość dostaje się każda rzecz, każda osoba, cały wszechświat ze swojemi dziełami w najkorzystniejsze dla siebie światło. J e j f u n k c j a polega na tem, że stawia ukochany przedmiot w takiem świetle, które wydobywa na jaw utajone kiedyindziej przymioty czy własności" (str. 55). Tak więc jak dla Leonarda da Vinci, dla Ks. Prof. Michalskiego „miłość doskonała jest doskonałem poznaniem".

Ale właśnie dlatego nie ujmuje ona wszechświata chaotycznie, jeno zachowując jego przyrodzoną hierarchję. Tę hierarchję burzą mity współczesne i pod tym kątem rozprawia się z niemi autor „Nieznanemu Bogu": neguje ją mit Nietsche'go, nie chcąc uznać zależności stworzenia od Stwórcy— mit komunizmu stawiający na pierwszem miejscu materję a nie ducha i mit rasizmu, narodowo-socjalistyczny, uważający krew, a więc ciało, za rozstrzygające o wartości człowieka. Prócz studjum im szczególnie poświęconemu, autor wraca do tych mitów na wielu kartach swej książki. Zwłaszcza rasizm wydaje mu się niebezpiecznym, gdyż zawarte w nim pierwiastki uczuciowe, mogą pociągnąć do niego młodzież, bardziej od komunizmu, który jałowością swej materjalistycznej doktryny i rozdźwiękiem „między suchemi założeniami dogmatyki sowieckiej a gorącym apelem do ofiary" zdołał już zrazić i znudzić najmłodsze pokolenie rosyjskie. W rasizmie tkwi ziarno prawdy — cześć dla swej rasy, swej ziemi, swego narodu jest według nauki św. Tomasza uzasadnioną, gdyż cześć, *pietas*, należy się źródłom życia. Ale „jeśli pewnem jest, że człowiek nie jest czystym duchem, to także pewne, że nie jest czystą ziemią" (str. 32) i tak jak co do potrzeb materjalnych „prymat ducha nad materją a nie materji nad duchem będzie mnożył chleby na ziemi" tak i świadomość, iż posiadamy wspólnego Ojca w niebiesiech i braterstwo w Odkupieniu Chrystusowem musi iść przed różnicami krwi i rasy, nie niszcząc ich jednak ani im zaprzeczając. „Przez Chrystusa" pisze pięknie Ks. Prof. Michalski, przez Eucharystję, którą się karmi, „każda krew do Bożego przechodzi herbu" (str. 62). Gdzieindziej mówi o twórczodziejowych walorach myśli chrześcijańskiej, według której „każda krew nobilituje się dwukrotnie: raz w dziedzinie przyrodzonej przez duszę z jej obrazem i podobieństwem bożem, drugi raz w sferze nadprzyrodzonej przez Łaskę, przez pokrewieństwo Boże. Obydwie myśli mogą się stać skrzydłami, które wszelką rasę, porwą do najwyższego jej lotu" (str. 140).

Owocem tego chrześcijańskiego światopoglądu jest zasadniczy optymizm, nie ten, co nie widzi błędów i cieni, ale ten co patrzy szeroko i dostrzega działanie Opatrzności. Ks. Prof. Michalski wnosi ten optymizm i do swego ujęcia filozofji dziejów. Zgodnie z nim, epoka w której żyjemy, nie wydaje mu się złą ani straszną — przeciwnie jest dla niego nowym „Dniem Ognia" który każe natężać człowiekowi jego twórcze siły: „Od wielkiej wojny, słońce jakby nie zachodziło nad wzburzonemi do dna duszy ludami Europy; od lat 15 nowe tęsknoty i prądy wydobywają się z duszy zbiorowej; od 15 lat w poszukiwaniu nowych form życia, ciągle się coś starego zwala, coś nowego buduje. Niema już chyba dzisiaj człowieka, któryby nie dostrzegał że ręce Boże przesuwają zwrotnicę dziejową, żeby ludzkie losy poszły na nowe tory. Kto nie wierzy w Bożą Opatrzność, będzie twierdził, że świat zmienia się w pierwotny chaos; kto jednak ma wiarę w duszy i w oczach, ten sięgnie swym wzrokiem dalej, sięgnie aż do tej miłości, o której powiada Dante na końcu Boskiej Komedyi, że porusza gwiazdy i słońca i ludzi (str. 66). Rozwój techniki jest również dobrem zdobytem przez człowieka — niszczącym stał się tylko przez to, że rozwój duchowy ludzkości nie zdołał mu nadążyć. Dlatego dziś wszelkie wysiłki powinny iść w kierunku duchowym, aby „człowiek sprostał wyzwolonym przez siebie potwornym mocom fizycznym". Praca maszyn ułatwiając mu opanowanie ziemi i skracając czas trudu fizycznego, może tylko wspomagać pracę ducha i intelektu tak że dla autora „nowoczesny industrjalizm najkrótszą drogą prowadzić powinien do mistyki" (str. 168).

Ten rozwój duchowy da się osiągnąć tylko przez wytężenie i zużytkowanie twórczych sił człowieka. Autor przypomina nam wciąż, że chrześcijaństwo nie jest postawą bierną, ale życiodajnym fermentem mogącym pracować w ludzkości: „Z przekonania że Bóg jest w nas, w narodach i państwach i ich dziejach, idzie na człowieka od wewnątrz inspiracja do pracy twórczej, gdyż tylko ten konserwuje, kto tworzy — conservatio est continuo creatio — a kto tworzy, współdziała z samym Bogiem" (str. 164). „To pewne, że szczera religijność wchodzi człowiekowi w myśl i oczy, tak, że widząc daleko, zdobywając horyzonty uznaje każdą pracę kulturalną za służbę Bożą. Nie służy Bogu tylko ten, kto służy grzechowi" (str. 121). „W każdem spojrzeniu religijnem, rozrasta się nam warsztat własnej pracy w bezmierną dal, obejmując wreszcie cały świat, gdzie wszyscy powołani, wszyscy w ten lub inny sposób tworzą i tworzyć powinni, gdyż przez wszechświat i jego dzieje wzywa ich do współdziałania Stwórczy Duch" (str. 123).

Prawda że natchnienie i moc otrzymujemy z góry, od Boga i z Ołtarza, ale trzeba nam pamiętać że „kontakt z Eucharystją nie uwalnia człowieka od wysiłku myśli" (str. 54). „Stat crux dum volvitur orbis — Stoi Krzyż nie na to, by gnuśnieć w Jego cieniu, lecz by pod Jego ramionami z wiarą w Zmartwychwstałego iść ze stygmatami pracy na dłoniach i stopach i nieraz z męczeńskim wieńcem myśli na skroniach, budując nieustannie nowe życie: novus nascitur ordo" (str. 86). Od nas, chrześcijan dzisiejszych, od naszej pracy i wysiłków zależy, czy przebudowa świata dokona się w „Stylu Bożym".

Cytaty te mówią same za siebie. Dziś gdy wśród młodzieży mówi się tak wiele o katolicyzmie dynamicznym, książka „Nieznanemu Bogu" powinna znaleźć zapalonych czytelników. Daje nam ona mocne teologiczne i filozoficzne podstawy właśnie temu ujęciu ducha religijnego. Wśród bogatej literatury katolickiej zachodu, mało jest dzieł jej równych pod względem głębi myśli i polotu stylu. Ufamy, że Ks. Prof. Michalski, na marginesie swej pracy naukowej i pedagogicznej, da nam jeszcze nie jedno dzieło w tym rodzaju — przeznaczone dla wszystkich tych, co w różnych dziedzinach życia kulturalnego pragną myśleć, czuć a przedewszystkiem pracować w prawdziwym duchu chrześcijańskim.

LIGA ODRODZENIA MORALNEGO

W październiku r. ub. rozpoczęła swą działalność w Wilnie organizacja, która w następujący sposób sformułowała w Statucie swój cel i zadania: „Celem Towarzystwa jest podniesienie poziomu moralnego wśród ogółu społeczeństwa i wytworzenie atmosfery etycznej, opartej na zasadach moralności chrześcijańskiej sprzyjającej duchowemu rozwojowi dorastających pokoleń, a także przeciwstawienie się wszelkiego rodzaju przejawom zdziczenia moralnego, oraz upadku kultury w życiu zarówno indywidualnem jak i społecznem".

Towarzystwo przyjęło nazwę „Ligi Odrodzenia Moralnego" i w maju r. b. zwróciło się do społeczeństwa z szeregiem odezw, w których temi słowy uzasadniało rację swego powstania i istnienia wśród tylu organizacyj społecznych:

„Liga powstaje w chwili, kiedy w świadomości ogółu coraz wyraźniej i mocniej utrwala się przekonanie o potrzebie, konieczności wprost palącej dokonania jakiejś zasadniczej reformy w dziedzinie etyki zarówno indywidualnej jak i zbiorowej. Dziś, gdy jesteśmy świadkami głębokich przeobrażeń natury moralnej i duchowej wstrząsających do głębi całem życiem społeczeństw i zmieniających tego życia nurt w nieznanem jeszcze dla współczesnych pokoleń kierunku, zdajemy sobie sprawę, że, ażeby ten kierunek nie zaprowadził ludzkości na bezdroża i manowce i nie pogrążył jej w otchłań jakichś apokaliptycznych przewrotów, należy przedewszystkiem rozpocząć od odrodzenia ducha, należy obudzić czujność sumień człowieczych, uśpionych w jakimś dziwnym, zabójczym letargu indeferentyzmu, konwencjonalizmu i relatywizmu etycznego. Musimy się domagać, by wartościom duchowym, religij-

nym i moralnym przywrócone zostało ich właściwe znaczenie utracone w szalonej pogoni za mamidłami szczęścia doczesnego, pojętego w sposób najbardziej zmysłowy i hedonistyczny.

I jeżeli istotnie w dziedzinie stosunków społecznych i gospodarczych niezbędne są daleko idące zmiany, jeżeli wszyscy — jakąby nie wyznawali ideologję od komunistów począwszy i na katolikach ortodoksyjnych kończąc — zgodni są w potępieniu istniejących form i bankrutujących systemów, obowiązkiem naszym jest stwierdzić, że wszelkie przewidywania, — ulepszenia lub reformy społeczne osiągną swój cel jedynie w połączeniu z gruntownem odrodzeniem moralnem, inaczej bowiem grożą one zagładą całej naszej kultury. Widzimy, mimo wszystkiego, że jutrznia odrodzenia już świta i chcemy dołączyć i nasze wysiłki, by przyśpieszyć pełnego słońca wschód".

Prace Ligi w początkowej fazie jej istnienia skoncentrowane były dokoła zagadnień następujących:

a) nawiązanie kontaktu ze społeczeństwem i pokrewnemi organizacjami za pośrednictwem odczytów, zebrań, memorjałów i t. p.

b) usunięcie ze sklepów z towarami aptecznymi ogłoszeń i reklam środków antykoncepcyjnych;

c) wycofanie z witryn kiosków gazetowych, pism o treści pornograficznej względnie nieodpowiedniej dla młodzieży;

d) Zwiększenie nadzoru w ogrodach publicznych w godzinach wieczornych;

e) Wydawnictwo mies. „Logos"—organu Ligi.

Sądzimy, że zbytecznem jest z naszej strony wobec tego, co już tu zostało wyrażone w odezwach Ligi uzasadniać jeszcze, istotną potrzebę z aktualności takiej organizacji. Jej rozwój i zasięg zależne będą zarówno od sprężystości i energji osób stojących na czele jak i od poparcia, jakie okaże jej społeczeństwo, gdy zda sobie sprawę z grozy chwili obecnej.

Redakcja „Pax", doceniając wagę wysuniętych przez Ligę zadań, poczynania jej gorąco popiera. Sądzimy jednak, że przyczyna słabości życia organizacyjnego katolickiego leży w jego wielkiem rozproszkowaniu. Tylko usunięcie tego stanu i skupienie sił może stworzyć prawdziwie silny ruch katolicki.

PIĘKNO POWIEŚCI NORDSTRÖM

„Nie, doktorze, to jest godzina, w której skały zwierzają się ludziom. Dowiadujemy się wówczas, że one za dnia tylko udają szarość, w rzeczywistości jednak posiadają dużo silnych kolorów", *Pani Kajsa*, str. 79.

O książkach Nordström p. t.: *Kajsa Lejondhal*, *Pani Kajsa* zupełne milczenie. Rzecz charakterystyczna. A szkoda: jest to powieść nietylko wyrastająca ponad miernotę, ale nawet wśród wartościowej literatury współczesnej zupełnie jedyna.

Wszystko mi zresztą jedno, jakie miejsce wyznaczy krytyka oficjalna książkom Nordström, napewno efemerydzie, jak prawie każda inna powieść. Lubię to wysokogórskie, czyste powietrze, jakiem się oddycha w literaturze skandynawskiej. I to z lotu ptaka spojrzenie na życie, w którem rzeczy wielkie i małe są równie ważne i... równie małe, i wszystko w niem bije jednym spokojnym rytmem. Tylko czasem w literaturze morze wyśpiewa groźną heroiczną opowieść o życiu rybaków z nad fjordów, jak to jest w najpiękniejszej powieści Bojera „Ostatni Wikingowie", tylko czasem rozbłyśnie mądrym, rzewnym uśmiechem, jak w niektórych fragmentach „Kamienia Mądrości" Larsena, tylko czasem żywiej zabije serce. Mocno zabiło serce w powieściach Klary Nordström.

„Kajsa Lejondhal" i „Pani Kajsa" to dziwna poetyczna historja dziedziczki Lejondhalen Kajsy, o której można powiedzieć to, co autorka mówi w dedykacji o swej matce, że „rozmawiała z Bo-[illegible] zwierzętami, drzewami i ziemią".

[illegible] porusza autorka b. interesujące za-[illegible]eczne: pokazuje próbę, żeby tak [illegible]eczenia" mętów miejskich przez [illegible] własnej ziemi i obudzenie w nich odpowiedzialności życiowej. Niezwykle subtelnie odmalowuje p. Nordström proces, jaki się w tych ludziach dokonuje nie bez nawrotów, kiedy dzięki przekopanemu do niedostępnego dotąd Lejondhalen tunelowi wtargnęło miasto ze wszystkiemi wspomnieniami i pokusami. Historja ta wiąże się najgłębszemi węzłami z wewnętrznem życiem Pani Kajsy.

Nie wiem, dlaczego w czasie czytania książek p. Nordström wciąż mi się nasuwało przypomnienie „Księgi z San Michele" Muntha. Jest jakieś podobieństwo w postawie tych dwóch książek. Może to samo pełne dobroci spojrzenie na świat, Spojrzenie, które pod szarą powłoką ludzi umie dopatrzeć się w nich stron dobrych i jasnych, które umie ludziom ufać i umie zło w ich duszach wypowiedzieć wojnę i zwyciężyć. Tak patrzy na świat Kajsa Lejondhal.

To miłość dała jej klucz do serc ludzkich. „Tej zimy Kajsa żyła taką pełnią życia, jak nigdy przedtem, interesowała się wszystkiem, każdym człowiekiem w Lejondhalen, każdem zwierzęciem, każdym pączkiem, który drzewa zaczęły puszczać..." (P. K. 129) „Stary Granesson był jej bliski i wszyscy ludzie w Lejondhalen byli jej bliscy, znała i lubiła każdy ich ruch. Jak mała żona Windberga przechylała głowę na bok i błagalnie patrzyła na męża, jak wysoki kowal Olsson uważnie słuchał wyjaśnień, dotyczących robót polnych, gdy tajemnicza, głucha tęsknota niemal zniknęła z jego oczu. Lubiła szorstkie spracowane dłonie Grety Grönlund, lubiła spojrzenie, jakie Liza Kemp rzucała niekiedy małemu Stefanowi. Lubiła chudą pomarszczoną twarz starej Valborgi, dobre, niebieskie oczy Karola-Velter i głos Gamli-Mia, kiedy rozmawiała z Krzysztofem. Lubiła Anderssona wielce doświadczonego ogrodnika i obdarzonego łaską Bożą, dziecięco wszechwiedzącego Granessona".

Wszyscy byli jej bliscy, czuła się z nimi wewnętrznemi węzłami sprzęgnięta, żyła ich życiem, wiedziała dobrze, co się dzieje poza barwną zasłoną ich twarzy, umiała przeniknąć głębiny duszy ludzkiej i wtedy nieraz zdawało się jej, że „przebywa jednocześnie na dwóch piętrach. Na dolnem prowadzono banalną rozmowę, a na górnem zaś rozpostarło się przed nią całe wnętrze tych dwojga ludzi, a to, co tam ujrzała, dręczyło ją silnie. Dojrzała tam tyle piękna, lecz, co ci ludzie z niem [illegible]".

Ta wrodzona wrażliwość na wszelkie sprawy ludzkie, obok aktywnej dobroci stwarza w Kajsie ogromną siłę, która oczyszczona daje jej „stanowczość człowieka co wszystkiego się wyrzekł". „Płomień Lejondhalów ją pożerał", płomień rodu olbrzymów, jak o nim mawiano w Szwecji, który nie zawsze swój temperament, energję i zdolności zużywał ku szczęściu swemu i innych. „Ale ten płomień trudno całkowicie oczyścić, Kajso, jak to miało miejsce u twego dziadka Solberga, a wówczas człowiek świeci od wewnątrz jak lampa". I Kajsa od dzieciństwa wpatrzona jak we wzór doskonały w swego dziadka Solberga stała się światłem oświecającem mroki życia innych. Dlatego rzuca rodzinę, aby udać się z Bo, którego wszyscy potępiają, dlatego broni męża przed sobą i małym nienarodzonym synkiem, kiedy Bo ją brutalnie zdradza, dlatego przeprowadza „walkę z szatanem" w duszy nieszczęśnika, który dotknięty losem zieje nienawiścią wobec wszystkiego, co żyje i jest szczęśliwe, dlatego wbrew wszystkim sprowadza do Lejondhalen jako kolonistów wyrzutków społeczeństwa z Hyclowego Wzgórza, łamie w nich swoją dobrocią ich drugą naturę, przełamuje opozycję ze strony ludzi dworskich, ceniących swoją „cnotę", stawia nawet na kartę miłość ukochanego człowieka, aby ich wszystkich przekonać o prawdzie dla niej zasadniczej „wszyscy żyjemy zanadto dla siebie, zamiast dla ogółu. Gdybyśmy tego nie czynili, znaleźlibyśmy stopniowo klucz do tego osobliwego stanu, który zwie się szczęściem".

Ale ta miłość jest nie tylko światłem innych, jest światłem samej Kajsy — „Kajsa leżała w trawie łączki jakby nieżywa. Nie obchodziło jej, że niedobrze wyciągnęła czółno na brzeg ani to, że twarz jej była brudna od łez i piasku. Dlaczego Bóg zabrał jej Bo, zamiast obrócić na dobre, teraz, gdy go czuła takim jej bliskim?

Naraz doznała wrażenia, jakby ktoś tuż przy jej uchu powiedział, że nie ona jedna w te noce czuwa i boleje, że wielu ludzi leży, jak ona i boleje, jak ona. Podniosła głowę i otworzyła oczy. Ale nie widziała małej wysepki, na której leżała, ani mieniącej się wody, ani różowiejącego nieba na wschodzie. Widziała jeno gdzieś w dali zrozpaczonych ludzi, co cierpieli jak ona i pragnęła móc im powiedzieć — tak głośno, by się to rozległo po całej kuli ziemskiej: Dopiero teraz rozumiem was... Kiedy Kajsa powstała i przeprawiła się do domu zamęt jej umysłu dobiegł swego kresu. Rozbłysło w niej światełko, drobne, nędzne światełko, ale ono oświecało jej drogę: wszyscy ludzie cierpieli, a ona mogła wielu z nich udzielić pomocy. Nie skarżyła się więcej, ucichła, spowita w bezmierną miłość wielkiego Ojca".

Jest w Kajsie jeszcze jedno, co sugestywnie oddziałuje na czytelnika. Bierze w niej nie tylko dobroć, której nam wszystkim tak brak, czaruje nas nie tylko tem, że jest jakby uosobieniem piękna i harmonji, ale udziela się nam jakby rytm jej serca tak jak miejskich kolonistów parających nieudolnie z wiejskiemi robotami uczyła koszenia, rąbania przez nucenie, przez dziwny śpiew, który im podawał „melodję pracy", tak i nas osnuwa jakaś dziwna melodja życia: od Kajsy płynie na nas wszystkick dziwny spokój. „Chciałaby wytłumaczyć wszystkim, że w gruncie rzeczy nie może się stać nic złego, gdyż niewidzialne ramię znów ją opasało i prowadzi ją, a z nią całe Lejendhalen".

Wobec tej mojej apologji mógłby ktoś zapytać, czy Kajsa jest postacią realną, potraktowaną psychologicznie? Czy nie jest to zwykła cnotliwa bujda dla naiwnych panien? Trzeba wyraźnie zastrzec się, że nie jest to romans moralistyczny. Książki Nordström tchną taką poezją, że aż dziw, że zdołała ją autorka zamknąć w szaty powieści. Czy Kajsa jest realna? Jeżeli zapytamy człowieka moralnego, co to jest człowiek, powie, że wszyscy ludzie to bydlęta; a każdy, kto wyrośnie ponad jego miarę — wyda mu się człowiekiem nienormalnym. Jednak od świętego dowiemy się dziwnych i wielkich rzeczy o człowieku.

Jest to uwaga konieczna ze względu na tendencję dzisiejszej literatury beletrystycznej, która jest w wysokim stopniu pod świadomym lub nieświadomym wpływem Freuda, który ostatecznie dokonał rozkładu osobowości ludzkiej. Ale czy rzeczywiście człowiek jest tylko „skrzyżowaniem konfliktów libido seksualnej i instyktów śmierci"? Czy bohaterowie Kaden-Bandrowskiego, Zegadłowicza, Nałkowskiej, Choromańskiego i tylu innych im podobnych są naprawdę realni? Pomyślmy jak straszne stałoby się życie, gdyby ożyły te postaci. Nie chodzi mi, broń Boże, o sztukę tendencyjną, zawsze będę twierdziła, że sztuka ma jeden cel: dzieło i jego piękno. Chodzi mi o rolę cywilizacyjną sztuki (przyczem przyjmuję, że cywilizować to znaczy wstępować ze stopni niższych życia zmysłowego na stopnie życia rozumnego i coraz wyższe szczeble życia duchowego), która spełnia dlatego, że jest twórczością człowieka dla innego człowieka. I właśnie z tego punktu widzenia nigdy nie można przeboleć, że uzdolnieni artyści poświęcają swój talent temu, co nie jest warte nic z punktu widzenia ogólnego rozwoju człowieka, że przed oczami i tak mizernego człowieka stawiają inne życie dużo bardziej bo wyrafinowanie podłe i co gorsza przez stosunek do przedmiotu fałszują pojęcia o życiu, zacierają, już nie powiem, i tak często nikłe granice między dobrem i złem, ale poczucie godności człowieczej i celów ludzkich, rodzą myśl o nieodpowiedzialności człowieka za czyny i życie i co najbardziej destrukcyjne wyrywają stopniowo lub zabijają jednym zamachem świadomość pozytywnych sił, które w człowieku są.

Bo przecież w życiu dźwięczą te inne nuty, te, które budują życie, tworzą kulturę, czynią człowieka szczęśliwym, wolnym i wielkim. Czasem ta nuta zadźwięczy późno, gdzieś niemal w chwili ostatniej, jak to jest w powieściach Mauriaca lub w „Cudzoziemce" — Kuncewiczowej. Czasem wyzwoli się ona wcześniej lub nie da się wcale spętać i dominuje, choć nie bez załamań całe [illegible].

Te dobre moce zostały wyzwolone w bohaterach Klary Nordström i w Pani Bricie i w starym Granessonie i w mieszkańcach Lejondhallen i rybakach z Harsudden, o których „opowiadają, że przychodzą na świat z rękami w kieszeniach w spodniach", i w samej Kajsie przedewszystkiem. W niej, jak w soczewce skupiły się wszystkie światła rozproszone po świecie, te światełka, które świecą w każdym człowieku, choć często tak przyćmione, że ledwo dostrzegalne.

Kajsa jest wyrazem tęsknoty człowieka o człowieku, o dobroci ludzkiej: darze największym, bez ceny, o spokoju co idzie z człowieka na człowieka jak największe pomazanie — i w tym sensie jest postacią realną i bliską, tembardziej, że w ujęciu artystycznem Klary Nordström nic nas nie razi, bo autorka znalazła dla swej koncepcji piękny poetycki wyraz.

Halina Wężyk-Widawska

POD LUPĄ

Notatce możnaby dać tytuł: Błąd płk. Koca, ale byłby on nieścisły, gdyż nic nie wiemy. Dookoła jego prac krąży tysiące domysłów, plotek, komentarzy. Z tego jednak, o czem się można domyśleć, widać wyraźnie, że chodzi o nową organizację — kto wie może nawet nieściśle polityczną. I na tem błąd polega. Epoka dzisiejsza cierpi na inflację organizacyjną, a zapomina jakże często o człowieku. Ten genjalny wynalazek organizacyjności uczyniły Sowiety, które człowieka ograniczyły, przekształciły go na tryb w olbrzymim aparacie państwowym. Faszyzmy kontynuowały ten błąd, choć mniej jaskrawo. O trwałości tych organizmów, gdzie człowiek przestaje być człowiekiem, trudno jest jeszcze wyrokować — w historji kilka czy kilkanaście lat znaczy nic tak wiele. Jedynym jednak prawdziwie trwałym ustrojem może być tylko taki ustrój, który potrafi wprząść człowieka w służbę publiczną, nie zabijając tego, co jest w nim żywe i istotne.

To są przesłanki ogólne, które trzeba wziąć pod uwagę, jeśli się chce naprawdę głębokiej przebudowy stosunków w Polsce. Błąd więc polega na przecenieniu roli organizacji, na niedocenieniu człowieka. Tylko wtedy potrafimy się przeciwstawić obu potęgom organizacyjnym — i na Wschodzie i na Zachodzie — gdy stworzymy coś nadrzędnego, gdy unikniemy kultu organizacyjności.

*

Niedawno KAP. przytoczył okólnik Związku Nauczycielstwa Polskiego, zabraniający członkom swoim należenia do szeregu organizacyj katolickich m. i. do Akcji Katolickiej. Oczywiście, że okólnik ten jest nie do przyjęcia dla katolików. Cała ta wojna między Związkiem a sferami katolickiemi jest w najwyższej mierze szkodliwa. Winę ponoszą obie strony. Związek musi zrozumieć, że katolicyzm leży u podstawy kultury polskiej i że walka z katolicyzmem jest walką z naszą kulturą. Z drugiej strony duża wina tego stanu rzeczy leży w bierności nauczycieli katolików. Katolicy muszą iść wszędzie, wszędzie zdobywać wpływy. Gdyby nasi nauczyciele katolicy potrafili odpowiednio zorganizować się, mogliby zmienić dzisiejsze nastawienie Związku do religji. Tego się jednak nie da osiągnąć ani przez bierność członków Związku wyznania katolickiego, ani przez chodzenie samopas. Związek ma niewątpliwie wiele cech dodatnich, a jeśli jest dla nas twierdzą niezdobytą nasza wina.

KSIĄŻKI NADESŁANE

KOPEĆ HENRYK. Kryzys klasy politycznej w Polsce w świetle statystyki. Warszawa, 1936. Odb.: Droga.

SCHILGEN HARDY O. Dlaczego nie przychodzisz? Myśli o częstej Komunji świętej. Kraków, 1936.

„SŁOWAK". Rola Słowaczyzny w militarnym sojuszu Czechów z Bolszewicką Rosją (tragedja narodu słowackiego). Warszawa, 1936. Odbitka: Nasza Przyszłość.

WILLAM FRANCISZEK MICHAŁ. Życie Jezusa. Na tle kraju i narodu izraelskiego. Kraków.

REDAKTOR NACZELNY: WITOLD NOWODWORSKI — WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WACŁAW TARASIEWICZ — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł., kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: [illegible] str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 3/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229

Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49